ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 1(86) • Styczeń 2013 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Totalna inwigilacja

Parę lat temu na wjeździe do Wrocławia ujrzałem na tablicy świetlnej numer rejestracyjny mojego samochodu z dopiskiem „Zwolnij!”. Posłusznie zdjąłem nogę z gazu…

Rok temu jechałem busem autostradą do Krakowa. W Katowicach wyprzedził mnie samochód Inspekcji Ruchu Drogowego i grzecznie poprosił, abym się zatrzymał. Pod Wrocławiem kamera wybrała na cel mój samochód, który ciągnął przyczepkę i zanotowała w systemie, że taki a taki pojazd pędzi sobie beztrosko A-4. System sprawdził, że nie ma wykupionego myta dla pojazdów powyżej 3,5 tony i przesłał tę informację do mobilnych punktów obsługi. Gdy pod Katowicami kamera zamontowana na jednym z nich wypatrzyła wśród wielu innych znany sobie numer rejestracyjny, zadziałał automat. Okazało się, że wprawdzie mieszczę się w 3,5 tonach, więc myta płacić nie muszę, ale nie mam przy sobie prawa jazdy… W dodatku odcinek 180 km przejechałem w 2 godziny, a samochód z przyczepką powinien pokonać tę trasę o 15 min dłużej…

A teraz wyobraźmy sobie, że taki system kamer działa przy każdym wjeździe, do każdego miasta. Science fiction? Nie – przyszłość, która czeka już za progiem. Do tego samochody wyposażone w czarne skrzynki – być może już od 2015 roku. No i sławetne fotoradary, które mają być panaceum na dziurę budżetową, a które nie tylko mierzą prędkość, ale widzą niezapięte pasy i rękę trzymającą podejrzany przedmiot przy uchu. Strach wsiadać do samochodu… Tyle, że samochód to pikuś.

Cały czas jesteśmy śledzeni. Operator naszej komórki z dokładnością do kilkunastu metrów może powiedzieć, gdzie i kiedy byliśmy. Firma udostępniająca Internet może sporządzić dokładny opis psychologiczny użytkownika na podstawie odwiedzanych stron i czasu, który im poświęcił. Supermarket może powiązać paragony z kartami kredytowymi. Monitoring miejski… A do tego różne booki, klasy, i ćwierkacze, gdzie sami szastamy na prawo i lewo informacjami na własny temat.

Są już kamery rozpoznające rysy twarzy, wagi, które jednoznacznie identyfikują przechodzących przez nie ludzi, systemy rozpoznające głos, a nawet wychwytujące podejrzane zachowanie, nie mówiąc już o tym, że nasze rozmowy i e-maile podsłuchiwane są w poszukiwaniu określonych fraz. A już za chwilę nasza lodówka oceni, jak się odżywiamy, licznik elektryczny oceni, czy prowadzimy zdrowy tryb życia, a karta medyczna przechowa cały zasób intymnej wiedzy.

A wszystko to, żebyśmy mogli czuć się bezpieczni. Żebyśmy, jako z natury istoty bezmyślne, nie wyrządzali sobie szkody. Dla naszego dobra maszyny rejestrują, maszyny uruchamiają określone procedury… Maszyny – doskonali urzędnicy.

Maksiu w Seksmisji w pewnym momencie woła: Totalna inwigilacja! Czasy, w których powstał ten film, określamy jako totalitarne, tyle, że nie było wtedy takich wyrafinowanych narzędzi, jakie oferuje nam rozwinięta demokracja.

Czy ktoś jeszcze narzeka na brak anonimowości w małym mieście?

Robert Pawłowski

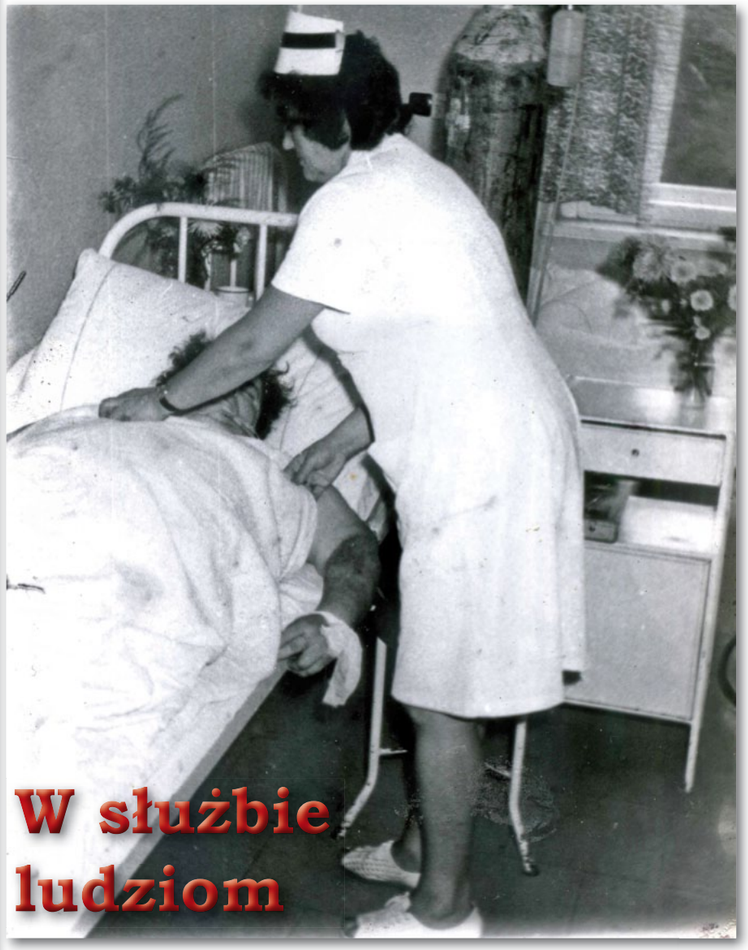

W służbie ludziom

Julia Stawińska urodziła się w Podhajcach, w rodzinie „światowej”, w której rodzice i dziadek spędzili po kilka a ojciec kilkanaście lat w Ameryce. Matka długie lata zachwycała zamorskimi kreacjami i kapeluszami na kształtnej głowie, podpartej wiotką szyją, przechodzącą w ładnie zbudowaną klatkę piersiową - zręcznie podkreśloną kaskadą koronek - w „akuratnym” dekolcie. Julia jeszcze wtedy nie przypuszczała, że i ona po latach postawi swą stopę na amerykańskiej ziemi. Podhajecki dom z drzewami owocowymi, otulony kwieciem, wśród którego królowały malwy, dawał poczucie bezpieczeństwa, a nawet szczęścia.

Ale nadeszły złe czasy: zmarł ojciec i dziadkowie. Matka podupadła na zdrowiu. Córki z całych sił pomagały aż do nadejścia okrutnej nocy 10 lutego 1940 roku. Najchętniej wszystko, co się potem wydarzyło, chciałaby wymazać z pamięci. Nie można! Przez całe życie niosła ten ciężar chroniąc swoje dzieci przed tą mroczną wiedzą.

Julia Stawińska (Dmytruk) do Złotoryi przybyła 1 lipca 1947 roku i została zatrudniona w magistracie w dziale technicznym, gdzie pracowali: siostra **- Janina Borawska, Wanda Szklarz, Zofia Karabczyńska, Maria Kaszowska, pani Krzysztofiak** i dużo starsza od pozostałych – sybiraczka - pani **Głowacka.**

Danuta Sosa: ***Czyje twarze z tamtych lat powracają we wspomnieniach?***

Julia Stawińska: To były biedne lata i trudne. Ludzie jednak, z nielicznymi wyjątkami, zachowywali się szlachetnie i życzliwie.

Także w pracy nie liczyli godzin, ani wysiłku, dążyli do wykonania zadania. Pamiętam panów niezwykle aktywnych, dobrych fachowców, to oni tak naprawdę uruchomili to miasto. Byli to: **Aleksander Pawłowski** - nazywany „Maksiem”, p. **Nazaruk, pan Duda, pan Woźniak, Marian Powroźnik, Kazimierz Stawiński,** który potem został moim mężem**, Jan Kołosowicz**, **Jan Krzysztofiak, Stanisław Ogłoza**, p. **Gleń, Stanisława Uznańska, Jan Malcher, Zygmunt Polański** i pewnie jeszcze inni, których nie zapamiętałam. Był jeszcze bardzo sympatyczny kierownik gazowni **- pan Rybka.**

Jak Julia została pielęgniarką?

Pewnego dnia wypatrzyłam wywieszkę informująca o naborze do szkoły pielęgniarskiej. Ale to był kurs. Zapisałam się i równocześnie zostałam zatrudniona jako pomoc dentystyczna. Byłam już mężatką i matką rocznej córeczki. Zostałam skierowana do szkoły pielęgniarskiej. Na dwa lata wyjechałam do Wrocławia. Elżbietą zajmowała się moja ciocia **– Maria Makarska.** Jako oddelegowana do szkoły pobierałam wynagrodzenie. Po ukończeniu nauki powróciłam już jako fachowa siła i zostałam zatrudniona w Gabinecie Zabiegowym. Do mnie należała również obsługa chorych w domu.

Rodzi się Czesław i...

Tak, na krótko zostaję kierowniczką Żłobka Miejskiego (obecnie siedziba Urzędu Pracy). Ale jest 1953 rok, na świat przychodzi trzecie dziecko – Teresa. Dzieci oddaję do żłobka, pracuję w Przychodni w Gabinecie Zabiegowym.

W roku 1956 otrzymałam propozycję przejścia do szpitala. Zostałam zatrudniona jako pielęgniarka na Oddziale Położniczym. Wówczas pielęgniarki dyżurne wykonywały wszystko, co było potrzeba, np. nie było lekarzy anestezjologów - jak obecnie i kapałyśmy eter przed operacją, ale opary i nas omamiały. Po trzech miesiącach awansowano mnie na oddziałową. Pierwszym dyrektorem szpitala był dr Henryk Borejko (1945-1949), ale kiedy ja podjęłam tam pracę, dyrektorował dr Józef Pawlita (1949-1957). W czasie tej kadencji, w 1951 roku, nastąpiło przeniesienie szpitala z ulicy Konopnickiej do wyremontowanego budynku przy ulicy Szpitalnej. W latach 1957-1960 stanowisko dyrektora piastował **dr Henryk Bartosiewicz**, po nim nastał **doc. dr n. med. Jerzy Peszko**, który dyrektorował do 1973 r., czyli czasu przekształcenia Szpitala Powiatowego w Powiatowy Szpital Psychiatryczny. W maju 1973 r. wmurowano akt erekcyjny pod nowy szpital. Powiatowy Szpital przy ulicy Hożej ruszył 25 lipca 1979 r. Nowiutka placówka otrzymała nowe wyposażenie. Wszystko piękne, nowe: odzież dla personelu, odzież dla pacjentów, sprzęt i urządzenia medyczne. Ze „starego” szpitala zabraliśmy chorych i wyposażenie Oddziału Chirurgicznego. Pacjentów otulonych kocami przewoziły karetki Pogotowia Ratunkowego. Nikomu nie stała się krzywda.

Byłam świadkiem powstawania placówki przy ulicy Hożej. Nawet z uczniami klas siódmych i ósmych przez tydzień nosiliśmy sprzęt, który dużo wcześniej magazynowano na tym, bądź co bądź, placu budowy. Kiedy wnosiliśmy, jeszcze nie było wszystkich schodów, chodziło się po kładkach.

Pracownicy też bardzo dużo pracowali przy porządkowaniu samego budynku i obejścia. Sadziliśmy drzewa w ogrodzie, zakładaliśmy rabatki kwiatowe. Było pięknie, cieszyliśmy się. Dyrektorem szpitala został **lek. Andrzej Wolańczyk.** Ale już od 1 lipca 1973 r. szpital stał się Zespołem Opieki Zdrowotnej. Jednak szybko dały się we znaki niedoróbki. Przy pracach kanalizacyjnych ziemnych zatrudnieni byli więźniowie, mieli swoich dozorców z Zakładu Karnego, ale nie było widać nadzoru budowlanego. Przeżyliśmy zalanie piwnic, gdzie mieściły się strategiczne dla szpitala pomieszczenia. Kiedy przystąpiono do usuwania awarii, okazało się, że w gruncie powstała luka i brakowało rury. Wilgotne podłoże tylko do czasu przyjmowało ten nadmiar treści kanalizacyjnych. Poprawki pomogły usunąć ten śmierdzący problem. Masowo napływali chorzy i zwiększał się personel. Chorych było tak dużo, że na korytarzach stały całe ciągi łóżek. Zmieniły się czasy, więcej ludzi udawało się do lekarzy, funkcjonowały służby zdrowia w zakładach pracy.

To szpitale, a jakie zadania miała Przychodnia Zdrowia?

Kiedy mnie jeszcze nie było w Złotoryi, wiem, że borykała się z problemami lokalowymi. We wrześniu 1945 r. utworzono zalążek przychodni - Poradnię Weneryczną (tam, gdzie później był zakład fotograficzny p. Filarowskiego). W 1950 r. w budynku przy ul. Basztowej (później siedziba ZUS), uruchomiono gabinety lekarskie. Działalność tę prowadzono przez rok. Placówkę przeniesiono do wyremontowanego budynku obok SP 1 (później siedziba Starostwa). W latach 1946-50 w przychodni pracowali felczerzy: **Ernest Flatzek** i **Maria Zdanowicz** oraz dochodzący - **dr Henryk Borejko**. Opiekę stomatologiczną zapewniał tylko jeden lekarz dentysta - Niemiec **– dr Piechotta** oraz dwóch techników dentystycznych (**Rabęda i Wojewoda**), chociaż uprawnienia zdobywają dopiero w ramach weryfikacji służby zdrowia w 1953/54 r. Opiekę pielęgniarską zapewniały: **Paulina Haluza, Kazimiera Wolska i Maria Dowbecka** oraz **niemieckie siostry zakonne.**

Kierownikami Przychodni byli kolejno: lek. **Henryk Borejko** (1945-1960), lek. dent. **Tadeusz Woźniak** (X-XII 1962), lek. **Henryk Borejko** (1963-1966), lek. **Jacek Rudnicki** (1966-1968), lek. **Ludwik Prokopowicz** (1969-1970), lek**. Henryk Borejko** (1970-1979), lek. **Ignacy Drexler** (1979-1986), lek. **Bronisław Lipiński** (od 1987).

A miłe wspomnienia?

Pamiętam, kiedy do Złotoryi przyjechali Państwo **Peszkowie**. Byli bardzo urodziwą dystyngowaną parą. Bardzo ceniłam ich jako lekarzy, a pani doktor ujęła mnie uzdolnieniami pozamedycznymi: pięknie szyła, wspaniale haftowała, miała dryg do robótek ręcznych, no i pięknie grała na pianinie. W pracy zdarzały się chwile wesołe. Bardzo sobie ceniliśmy każdą chwilę śmiechu, bo nasz zawód polegał na kontaktach z ludźmi smutnymi, obolałymi, cierpiącymi.

A co porabia emerytowana pielęgniarka złotoryjskiej służby zdrowia?

Odpoczywa. Rozwiązuje krzyżówki, spotyka się z rodziną i przyjaciółmi.

Nie narzeka na nadwyżkę czasową. Przy sprzyjającej pogodzie spaceruję z koleżankami. Moje mieszkanie ma dobrą lokalizację, wszędzie mam blisko i na jednym poziomie. Często uczestniczę w spotkaniach w Bibliotece Miejskiej i bywam na imprezach i uroczystościach w ZOKiR. Oglądam telewizję, czytam prasę, mam niezłą orientację w tym, co mnie otacza i co się dzieje. Wszak wiesz, że jestem otoczona czułością dzieci i wnuków i to jest mój wygrany los na loterii. Jestem szczęściarą – z uśmiechem kończy rozmowę **Jula** – jak ją w rodzinie nazywamy – moja Ciocia. Może zahartowałam się wśród chorych? - dodaje z uśmiechem.

Danuta Sosa

Jedno miejsce - dwa narody

Robert Pawłowski: Niebawem ukaże się pana powieść, mocno osadzona w realiach naszego miasta. Zdradzi pan co nieco?

Andrzej Wojciechowski: To opowieść o dwóch rodzinach żyjących w Złotoryi w latach 1933–1956. Jak łatwo zauważyć, bohaterowie należą do dwóch narodów. Ludzi tych łączy jedynie to, że zajmują to samo mieszkanie. W czasie rzeczywistym akcja toczy się w dniu 18 lipca 1946 roku, na stacji kolejowej. Tu spotykają się moi bohaterowie — Niemiec Wilhelm Schöller i Polak Zygmunt Siezieniewicz. Pierwszy czeka na lokomotywę, która zabierze go wraz z rodziną do Niemiec, wspominając w tym czasie lata, które przeżył w Goldberg. Drugi, w oczekiwaniu na ciężarówkę, która jego i jego dobytek zawiezie do miasta, wyobraża sobie przyszłość, jaka czeka go w Złotoryi.

Co było dla pana inspiracją?

Inspiracja to sprawa złożona. Żyję już trochę w mieście i trudno mi sobie wyobrazić, aby nie zadawać pytań o jego przeszłość. Można zacząć od najprostszego — kim byli ludzie, którzy chodzili tymi ulicami przed nami? Stąd już niedaleko do poszukiwań źródeł historycznych, a przede wszystkim do literatury. W moim przypadku dużą rolę odegrała książka Pana Alfreda Michlera „Aurimontanie, Goldbergerzy, Złotoryjanie". Uruchomiła ona moją wyobraźnię. Potem było już łatwiej, bo gdy docierałem do ciekawych ludzi i artefaktów, powieść pisała się sama.

Adresatem pana powieści są złotoryjanie, czy mierzy pan szerzej?

Książkę opublikuje wydawnictwo, które rozprowadzi ją w całym kraju. Być może w ten sposób dołożę cegiełkę do promocji miasta. Mam jednak przeświadczenie, że lektura sprawi największą przyjemność mieszkańcom miasta. Pragnę zauważyć, że jest to pierwsza w osiemsetletniej historii powieść, której akcja toczy się w Złotoryi. Myślę, że sprawię dużą frajdę krajanom. Chociaż z góry uprzedzam, że bez przypisów trudno byłoby powiedzieć, gdzie znajduje się konkretne miejsce. Bo kto dziś pamięta, gdzie zaraz po wojnie znajdowała się ulica Churchilla, Limanowskiego lub Drzymały?

Ile jest w książce prawdy, a ile fikcji?

Proporcje są chyba równe. Opisuję bardzo dużo prawdziwych wydarzeń, a zaczynam od przejęcia drukarni Oskara Collmara przez nazistów. Dotarłem do wielu ciekawych informacji i — o ile to możliwe — wplatam je w fabułę. Tak było np. z fabryką cygar, która mieściła się na rogu dzisiejszych ulic Konopnickiej i Staszica. Po wojnie, z powodu stopnia zniszczenia, nie zdecydowano się na jej uruchomienie. Ta mało znacząca informacja była dla mnie inspiracją do stworzenia dość bogatej fabuły. Autentycznych wydarzeń opisuję też sporo w powojennych dziejach. np. uruchomienie fabryki kapeluszy, czy strzelanina przy ul. Mickiewicza. Prawdziwych jest też wiele postaci. Na końcu zamieszczam ich spis.

Nie boi się pan, że ktoś może się obrazić?

Starałem się nie pisać niczego kontrowersyjnego o żywych. Jeśli chodzi o tych, którzy nie żyją, to ich czyny są spisane. Piszę negatywnie np. o pewnym oficerze śledczym złotoryjskiego UB. Może ktoś z jego spadkobierców (o ile istnieją) upomni się o jego dobre imię, ale tu akurat jestem dziwnie spokojny. Poza tym, nie można mi chyba zarzucić, że piszę zbyt wiele złego, bo moim zamiarem było przedstawienie złotoryjan jako ludzi dobrych i szlachetnych.

Jak wyglądała praca nad książką? Jak odkrywał pan bohaterów, którzy pojawiają się na stronach powieści?

Czas, w którym pisałem książkę, był niezwykły z tego względu, że niemal żyłem życiem moich bohaterów, a to bardzo pomaga w pracy. Przeczytałem mnóstwo książek nie tylko z dziedziny historii regionalnej, ale i powszechnej. „Echo" też ma swój udział, bo znajdowałem tu sporo artykułów dotyczących przeszłości. Poza tym przeprowadziłem niezliczoną ilość rozmów z wieloma bardzo interesującymi ludźmi. Każda, nawet najmniejsza informacja była przeze mnie sprawdzana i w miarę możliwości wykorzystywana. Nieocenioną pomoc otrzymałem od Panów Gorzkowskiego i Michlera, ale również od przedwojennej mieszkanki powiatu, Pani Jutty Graeve-Wölbling, a także najstarszego mieszkańca Legnicy, Pana Jürgena Gretschela. Zastrzegam jednak, że nie wymieniłem wszystkich i z góry za to przepraszam.

Jacy są Niemcy w pana książce?

Podobne pytanie zadała mi Pani Jutta Graeve-Wölbling, gdy poprosiłem ją o współpracę. Bardzo szybko rozwiałem jej obawy, gdyż moim celem nie była ocena kogokolwiek. Niemcy w mojej książce są zwyczajni, bo to jest książka o ludziach. To nie jest powieść o nazistach czy komunistach. Chciałem napisać o normalnych ludziach żyjących w naszym mieście przed niemal wiekiem. Uznałem, że żyli oni zwyczajnym życiem i nie mieli zbyt dużego wpływu na to, że historia tocząca się nad ich głowami pisze im takie, a nie inne scenariusze. Choć gwoli ścisłości w powieści pojawiają się też źli Niemcy, tak jak i źli Polacy.

Zależało mi na tym, żeby pokazać, że Niemcy, którzy mieszkali tu przed wojną, byli ludźmi takimi jak my. Mieli swoje rodziny, miłości, pracę, domy. Kochali i nienawidzili. Krótko mówiąc, byli normalnymi ludźmi.

Odnosi się pan w powieści do trudnych relacji polsko-niemieckich?

To rzeczywiście trudne zagadnienie, bo czas, o którym piszę, był czasem szczególnym. Owszem, problem dostrzegam, ale raczej skłaniam się ku tezie, że obie społeczności były od siebie odseparowane. Wprawdzie ludzie ci pracowali przez kilka lat ramię w ramię, ale nie mam podstaw do tego, by sądzić, że rodziły się pomiędzy nimi szczególne więzi. Nieufność, jaką wzbudzała w Niemcach nowa polska władza i z drugiej strony piętno narodu Hitlera, powodowały trwałe uprzedzenia. Potrzeba było wielu lat, by rany się zagoiły. Jednakże gdy znów wrócimy do perspektywy pojedynczego człowieka, to mogło się zdarzyć, że wyglądało to zupełnie inaczej i taką historię też opisuję.

Z fragmentów, które pan udostępnił, wynika, że bardzo dba pan o szczegóły. Nazwy ulic, ludzie, wydarzenia – skąd czerpał pan wiedzę?

Dużym ułatwieniem było to, że Złotoryja, jak rzadko które miasto, ma bardzo bogatą literaturę historyczną. Z drugiej jednak strony musiałem pamiętać, że dobrze udokumentowane historie nie mogą być przedmiotem moich fantazji i powinienem trzymać się faktów. Starałem się być na tyle precyzyjny, że pisząc o podróży pociągiem w roku 1936, sprawdziłem w przedwojennym rozkładzie jazdy, o której odjeżdżał on z Goldberg. Na pewno o wiele łatwiej pracuje się w czasach „Internetowych", bo jeśli miałem potrzebę np. ustalenia nazwiska dowódcy Wehrmachtu w 1944 roku, albo złotoryjskiego komendanta UB w roku 1951, robiłem to bez trudu w kilka chwil.

Mam też refleksję natury ogólnej, że w literaturze należałoby sprostować liczne błędy. Podam przykład: niemal wszystkie źródła pisane mówią, że pierwszą placówką oświatową po wojnie była szkoła podstawowa przy ul. Konopnickiej 13. Fakt powszechnie znany i nie wymagałby komentarza, gdyby nie to, że w roku 1945 takiej ulicy w Złotoryi nie było. Ta część dzisiejszej ul. Konopnickiej, przy której mieściła się szkoła, nazywała się wówczas ulicą Skarbową.

Złotoryja, jej okolica ma potencjał na kolejne powieści? Coś pan już zamierza?

Owszem to bardzo ciekawa inspiracja. Już teraz byłbym w stanie napisać kolejną. W przypadku tej, która powstała, musiałem się streszczać, ponieważ potrafię trzeźwo ocenić koszty wydawnicze i wiem, że zbyt obszerna praca byłaby kłopotem dla wydawcy. Tutaj właśnie rysuje się zasadniczy problem. Napisanie książki to jedno, a wydanie — to już całkiem inna historia. Nie jest łatwo zrobić to dziś, kiedy czytelnictwo spada. Całkiem poważnie myślę o tym, że jeśli jeszcze kiedyś uda mi się coś napisać, wydam to wyłącznie w formie elektronicznej. To znacznie łatwiejsze, a przy okazji chyba nieunikniony znak czasu.

Kiedy będzie można przeczytać książkę?

Jesteśmy na początku cyklu wydawniczego, a — jak informuje mnie wydawca — trwa on zwykle od 4 do 6 miesięcy. Zatem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, książka będzie dostępna najpóźniej w połowie roku.

Czuje pan tremę, jak zostanie przyjęta książka w Złotoryi?

Przysłowie mówi, że najtrudniej być prorokiem we własnym kraju. Spodziewam się, że jak zwykle najwięcej do powiedzenia będą mieli ci, którzy książki nie przeczytają. Niemniej mój debiut wydawniczy z 2011 roku został w mieście dość ciepło przyjęty. To pozwala mi żywić nadzieję, że tym razem będzie podobnie. Odpowiadając wprost na pytanie: tremy nie mam, raczej ciekawość, czy uda mi się wywołać dyskusję o historii naszej małej ojczyzny.

Rozmawiał Robert Pawłowski

Dusza człowiek

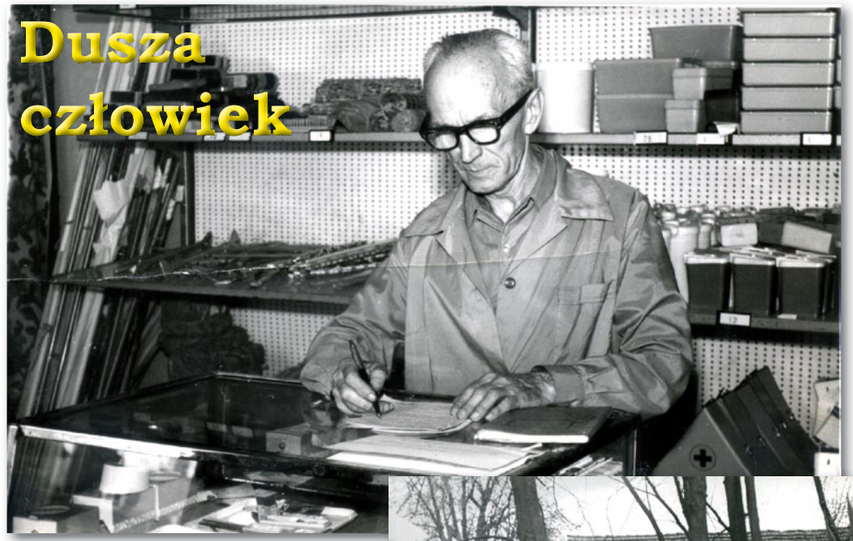

Lwowiak i złotoryjanin. Handlowiec, społecznik, wędkarz, działacz turystyczny i polityk. Zagadnięci znajomi mówili: Dusza Człowiek. Łagodny, uśmiechnięty, pomocny i bezinteresowny.

Pan Andrzej Pawłowski był barwną postacią w krajobrazie politycznym Złotoryi. Jako członek PSL posiadał wiedzę, którą chętnie chciał się podzielić. Moje spotkania z Nim odbyły się na potrzeby zamierzonej wówczas monografii Złotoryi i publikacji w prasie. Ustaliliśmy, że rozmawiać będziemy o latach 1945-47, głównie o walkach politycznych na terenie miasta i powiatu. Pan Andrzej zaczął opowieść:

Walka polityczna partii i stronnictw politycznych była nierówna. PPR podporządkowała sobie PPS i SL, była partią uprzywilejowaną i miała powiązania z Urzędem Bezpieczeństwa. Sekretarz powiatowy PPR posiadał nawet krótką broń palną, co stwierdziłem podczas kontaktu z nim, a nie do pomyślenia było, by mogli broń posiadać sekretarze z innych partii. Natomiast działacze PSL stale byli prześladowani i co pewien czas aresztowani przez Urząd Bezpieczeństwa. Nie było mowy o jakiejkolwiek interwencji, bo władza administracyjna była kontrolowana przez PPR i UB.

Partie polityczne takie jak PPR i SL miały ułatwione zadania organizowania się, bo były pod ochroną SB, a walkę z bezbronnym i prześladowanym PSL mieli ułatwioną. PSL opierało się na starych przedwojennych ludowcach, którzy osiedlili się w powiecie złotoryjskim oraz na działaczach młodzieżowych ,,Wici" i uczestnikach Batalionów Chłopskich. Członkowie i działacze ludowi, jak np. **Józef Gaweł, Stanisław Bąk (**okrutnie traktowany w areszcie), **Andrzej Gierzęga** i **Józef Mech** z Twardocic, **Stanisław Kurasz z Olszanicy, Jan Wiewiórski** i **Zygmunt Ryżewsk**i z Chojnowa i wielu innych pomimo prześladowań wciąż tworzyli nowe koła w powiecie. Konsekwencją imponował **Władysław Stanowski** z Lubiechowej.

Walki partii Bloku Demokratycznego z legalnie działającym PSL nie były walkami cechującymi zwalczających się przeciwników. Były to działania zmierzające do likwidacji PSL, co się ostatecznie później udało. Jako sekretarz powiatowy PSL byłem niemal codziennie doprowadzany do UB na rozmowy, czasem nawet w obecności funkcjonariusza NKWD. Podobne działania dotykały innych działaczy, niektórych aresztowano. Ja sam byłem wielokrotnie zatrzymywany w areszcie. Jednego razu zamknięto ze mną na trzy dni kierownika Powiatowego Urzędu Informacji i Propagandy, który namawiał mnie do rezygnacji z partyjnej działalności.

Pewnej listopadowej niedzieli 1946 roku, PPR i UB zorganizowały wiec na rynku miasta, a później z przybyłymi z innych miejscowości uczestnikami napadli na lokal przy placu Matejki. Lokal został całkowicie zdemolowany, maszynę do pisania i telefon zabrano, a papiery wyrzucono przez okno na ulicę, ktoś rzucił zapałkę... Praktycznie zniszczono dokumentację. Wybiegłem z domu, zatrzymali mnie funkcjonariusze z wycelowanymi we mnie automatami. Z opresji wyratowali mnie funkcjonariusze MO i z podniesionymi w górę rękoma udałem się do domu.

Metody walki politycznej PSL były odmienne od metod Bloku Demokratycznego. Stosowaliśmy propagandę na zebraniach agitując społeczeństwo do wstąpienia do PSL. Członkowie wpłacali składki i pokrywali niezbędne koszty działalności. Dbaliśmy o to, by nie posądzono nas o działalność nielegalną. W naszych szeregach było trzech funkcjonariuszy MO i pracownicy administracji państwowej, co oczywiście trzymaliśmy w tajemnicy.

Przygotowania do wyborów miały swojego patrona w osobie przedstawiciela PPR-pana **Szlachciaka.** Publikacje prasowe cechowała wrogość wobec PSL.

W referendum ludowym 30 czerwca 1946 roku nie uczestniczyłem, bowiem zostałem profilaktycznie na dziewięć dni zatrzymany w areszcie.

W okresie powojennym wraz z pracownicą objeżdżałem na rowerze koła wiejskie, zbieraliśmy podpisy pod kandydaturą posła na Sejm. Później towarzyszyłem kandydatowi w spotkaniach z członkami poszczególnych kół. Wyprawy rowerowe odbywaliśmy bocznymi drogami, bo główne były kontrolowane przez MO i UB. Listy poparcia kandydata z podpisami członków sekretarka ukrywała pod swetrem na plecach. Karty do głosowania z Wrocławia przewoziły kobiety. Udawało się. Represje osłabiały organizację. Powiatowego prezesa PSL – **Andrzeja Gierzęgę** osadzono w więzieniu na półtora roku, kapitanowi Batalionów Chłopskich – **Abramczykowi** udało się uciec z aresztu po rynnie, ale musiał na jakiś czas zniknąć. W dniu wyborów wytypowanych mężów zaufania nie dopuszczono do Komisji Wyborczej, także żądano od nich świadectwa moralności. **Józef J.** wystąpił z szeregów PSL i na piśmie złożył lojalkę wobec Polski Ludowej.

Widząc bezcelowość dalszej walki politycznej zwołałem u siebie w mieszkaniu zebranie działaczy PSL z powiatu, z udziałem posłanki na Sejm – **Hanny Chorążyny** i rozwiązałem zarząd powiatowy PSL, jako ostatni na Dolnym Śląsku. Po roku pracy w PZGS nadal byłem prześladowany, usiłowano ze mnie zrobić donosiciela i konfidenta. W lipcu 1947 roku Trybuna Dolnośląska opisała przebieg konferencji niezgodnie z prawdą. (Ta sama gazeta już w lutym 1946 r. oskarżała ludowców o zdradę narodową). Dopiero po powtórnym dojściu do władzy Władysława Gomułki zostałem całkowicie zrehabilitowany w radiu i w prasie. Wkrótce wstąpiłem do ZSL- relacjonował **Pan Andrzej Pawłowski.**

(10.11.1908 Lwów – 03.08.1994 Złotoryja)

Post scriptum

Wypadki sierpniowe 1980 r. spowodowały przełom w powojennych dziejach Polski. Rozpoczęty wówczas proces przemian objął swym zasięgiem także Stronnictwo. Ówczesna rzeczywistość rodziła krytykę mas członkowskich ZSL, która wraz ze wzrostem napięć społecznych uległa zaostrzeniu. Szeregowi członkowie pozostawali w swoistej opozycji wobec partii i tzw. góry Stronnictwa. Z chłopskim uporem bronili niezależności ideowej, trwając przy tradycjach Wincentego Witosa i Stanisława Mikołajczyka.

W oparciu o wywiad i rękopis A. Pawłowskiego napisała Danuta Sosa. Ten wywiad stanowił podstawę do opracowania działalności PSL w powiecie złotoryjskim w Dziejach Złotoryi **-** 1997.*Wywiad został zapisany na taśmie VHS (D. Radwańska). Zdjęcia z archiwum rodziny.*

Trudny wybór

Gdy słyszę pytanie, po co robić takie wybory, po co narażać się, przecież zawsze będą jacyś niezadowoleni, którym nie w smak będzie, że ktoś został wyróżniony, a inny pominięty? Odpowiadam niezmiennie: Nie ma nic gorszego, niż niezauważanie pracy, starań innych ludzi. Jesteśmy istotami społecznymi, żyjemy, pracujemy i chcemy, żeby inni zauważali pozytywne efekty naszych działań. Te wybory są wyborami pozytywnymi, promującymi to co dobre, warte zauważenia i społecznego uznania i nie należy doszukiwać się tu żadnych podtekstów.

Od dwóch lat w Echu Złotoryi publikujemy kronikę wydarzeń miesięcznych. Usiadłem więc pewnego dnia i przewertowałem 11 ubiegłorocznych numerów. Na tej podstawie wynotowałem przeszło 20 nazwisk ludzi, których działania zasługiwały na uwagę. Do tego doszło kilkanaście wydarzeń, które miały swoich autorów, ale nie znałem konkretnych nazwisk. Czyli razem grubo ponad trzydzieści potencjalnych kandydatur do tytułu „Człowiek Ziemi Złotoryjskiej". Jak znam życie, drugie tyle kandydatów umknęło mojej – naszej uwadze. Myślę, że nie będzie przesadą, że ponad 50 osób, a może i ponad 100 w 2012 roku zrobiło coś znaczącego dla ziemi złotoryjskiej, dla swoich krajan.

Dlatego trochę rozczarowała mnie liczba zgłoszeń. No cóż, może za rok będzie lepiej...

Zasady wyborów „Człowieka Ziemi Złotoryjskiej" są bardzo proste: kandydaturę może zgłosić każdy, byle tylko ją uzasadnił – ostatecznego wyboru dokonuje kapituła, która co roku powiększa się o zdobywcę tytułu z poprzednich wyborów.

8 stycznia zebrała się Kapituła Wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012. Na pierwszym posiedzeniu powołała przewodniczącego, pod kierunkiem którego będzie obradować. Został nim Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2011 – Mirosław Kopiński. Przyjęto również harmonogram wyborów: 10 stycznia zostanie wyłoniona piątka nominowanych do tytułu, a 18 stycznia spośród pięciu nominacji dokonany zostanie wybór laureata.

Do wyborów zgłoszono łącznie 23 kandydatury. Kapituła postanowiła połączyć trzy zgłoszenia, ponieważ dotyczyły dwóch osób wymienionych osobno, a raz razem. W ten sposób pod dalsze obrady trafiło 21 kandydatur. Są to w kolejności zgłoszeń:

♦ **Stanisław Zawadzki** - instruktor modelarstwa w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji. W ubiegłym roku młodzi modelarze, nad którymi sprawuje pieczę, zdobyli wiele medali i wyróżnień w zawodach na szczeblu krajowym.

♦ **Barbara Zwierzyńska-Doskocz** - działa w wielu organizacjach i stowarzyszeniach. W 2012 roku współtworzyła „Złotą Coolturę", organizowała grę miejską „Festy Podróżnika" w ramach III Biegu Szlakiem Wygasłych Wulkanów, organizowała akcję zbierania darów dla powodzian z okolic Świerzawy, współtworzyła i jest Prezesem Stowarzyszenia Nasze Rio.

♦ **Dawid Ryczbel** - twórca filmowy. W ubiegłym roku m.in. zajął pierwsze miejsce w konkursie Netii, zdobył pierwsze miejsce na Festiwalu Filmów i Form Jednominutowych, we współpracy z Małgorzatą Semeniuk stworzył film „Zatrzymane chwile".

♦ **Jolanta Zarębska** - nauczyciel języka polskiego w złotoryjskim LO, wydała tomik poezji, prowadzi teatr „Mimo wszystko".

♦ **Renata Fuchs i Anna Markiewicz** - nauczycielki języka polskiego w złotoryjskim gimnazjum. W 2012 roku zorganizowały II Złote Dyktando.

♦ **Wioleta Michalczyk i Małgorzata Semeniuk** - w 2012 roku stworzyły film i doprowadziły do wydania książki pt. „Zatrzymane chwile".

♦ **Paweł Macuga i Kamila Nankiewicz** - w ubiegłym roku Stworzyli portal Zlotoryjanie.pl promujący partycypację obywatelską.

♦ **Piotr Kocyła** - Prezes Otwartej Ligi Amatorów Wieloboju Sportowego, organizował w 2012 roku wiele imprez sportowych, reprezentował Złotoryję w kraju i za granicą.

Dawid Ryczbel

♦ **Daniel Leks** - w ubiegłym roku powołał do życia „Złotą Coolturę".

♦ **Kacper Harkawy** - zdobył mistrzostwo Polski młodzików w boksie.

♦ **Aneta Wasilewska** - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej, zainicjowała w ubiegłym roku wiele działań, które czynią z biblioteki powiatowe centrum wysokiej kultury.

Małgorzata Semeniuk i Wioleta Michalczyk

♦ **Irena Gabriel** - społeczny Kurator Sądowy przy Sądzie Rodzinnym w Złotoryi, przewodnicząca Stowarzyszenia „Sobieradzik" w Wojcieszowie, systematycznie pracuje na rzecz wychowanków Domu Dziecka „Sobieradzik".

♦ **Marta i Łucja Marchaj** - prowadzą fundację „Animus", w ubiegłym roku prowadziły cykliczne zbiórki żywności, współorganizowały I Zlot Fanów Ewy Farnej oraz Dni Wilkowa.

♦ **Andrzej Kowalski** - Prezes Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych. W ubiegłym roku otworzył Skansen Górniczy w Leszczynie, co roku organizuje Dymarki w Leszczynie, utrwala tradycje górnicze na ziemi złotoryjskiej.

Aneta Wasilewska

♦ **Paulina Ruta** - prezes Polskiego Stowarzyszenia Nordic Walking, w 2012 roku zorganizowała Międzynarodowe Mistrzostwa Nordic Walking, Wulkany24, „Na Wulkan! Marsz!" jak również brała udział w wielu krajowych i międzynarodowych imprezach, promując zdrowy tryb wypoczynku a przede wszystkim ziemię złotoryjską.

♦ **Ewelina i Krzysztof Rozpędowscy** - inicjatorzy wielu działań we wsi Dobków, które daleko wykraczają poza granice nie tylko wsi, czy gminy, ale całego Pogórza Kaczawskiego. Animatorzy Kaczawskich Warsztatów Artystycznych oraz międzypokoleniowych i wielokulturowych Świątecznych Spotkań.

Andrzej Kowalski

♦ **Bartosz Łoś** - w ubiegłym roku zorganizował I Zlot Fanów Ewy Farnej. Współorganizował charytatywny koncert „Animus Dzieciom" podczas Dni Wilkowa.

♦ **Tomasz Szymaniak** - nauczyciel historii w złotoryjskim LO, w ubiegłym roku zorganizował między innymi zbiórkę darów dla Kresowian, nawiązał kontakty z fundacją Odra-Niemen i doprowadził do spotkania z „żołnierzami wyklętymi", współorganizował również I Biesiadę Kresową w Złotoryi.

♦ **ks. Krzysztof Czyż**, proboszcz parafii pw. św. Józefa Robotnika w Złotoryi - W ubiegłym roku otworzył parafialną bibliotekę, prowadził spotkania AA, a także spotkania dla rodzin osób uzależnionych, organizował kameralne imprezy parafialne, z których dochód jest przeznaczony na budowę kościoła. Został także kapelanem Straży Pożarnej z powiatu złotoryjskiego.

♦ **Józef Zatwardnicki** - założyciel Klubu Sportowego „Agat", który w ubiegłym roku zdobył wiele medali w zawodach krajowych i międzynarodowych.

♦ **Danuta Sosa** - członek Zarządu TMZZ, przewodnicząca Koła Kresowian. W 2012 roku zorganizowała I Biesiadę Kresową w Złotoryi, prowadziła Warsztaty Genealogiczne.

Dwa dni później Kapituła zebrała się ponownie, by wyłonić piątkę nominowanych do tytułu. Wybór nie był łatwy, konieczna była dogrywka, która zdecydowała, że do tytułu „Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2012" zostali nominowani:

♦ **Dawid Ryczbel** – za twórczość filmową, która wielokrotnie była nagradzana w krajowych konkursach;

♦ **Wioleta Michalczyk i Małgorzata Semeniuk** - za stworzenie bezcennego dokumentu w formie książki oraz filmu o najstarszych mieszkańcach Gminy Pielgrzymka;

♦ **Aneta Wasilewska** - za skuteczną promocję czytelnictwa, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży, wiele inicjatyw, które czynią z Miejskiej Biblioteki Publicznej wiodące centrum kultury dla Ziemi Złotoryjskiej,

♦ **Andrzej Kowalski** - za doprowadzenie do końca budowy Skansenu Górniczo-Hutniczego w Leszczynie, odwagę i konsekwencję w realizacji tego przedsięwzięcia oraz za wszelkie działania propagujące tradycje górnicze na ziemi złotoryjskiej

♦ **Józef Zatwardnicki** - za pracę z młodzieżą, która została uwieńczona wieloma sukcesami w kraju i za granicą oraz za organizację imprez o charakterze sportowym i patriotycznym.

Gdy czytacie Państwo ten tekst, kapituła jest już po ostatecznym rozstrzygnięciu, ale ktokolwiek otrzymał ten tytuł, to jestem pewien, że każda z nominowanych osób w pełni na ten tytuł zasługuje – niestety tytuł jest tylko jeden.

Gratuluję nominowanym, gratuluję zwycięzcy i życzę jeszcze większych sukcesów w 2013 r. Jesteście Państwo wielcy!!!

W imieniu redakcji „Echa Złotoryi" dziękuję członkom Kapituły: paniom Iwonie Siwińskiej i Kazimierze Tuchowskiej oraz panom Zenonowi Bernackiemu, Romanowi Gorzkowskiemu, Bogusławowi Szyi, Alfredowi Michlerowi i Mirosławowi Kopińskiemu za odwagę i trud w podjęciu decyzji o przyznaniu tytułu „Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2012". Panu Staroście Powiatu Złotoryjskiego – Józefowi Sudołowi dziękuję za objęcie wyborów swoim patronatem.

Robert Pawłowski

Józef Zatwardnicki

Kadr z filmu „Posterunkowy Bambułka" Dawida Ryczbla

Z pamiętnika dyżurnego

Co robią kibice, którzy idą na mecz Górnika i potrzebują megafon? Zmierzają na komendę policji w Złotoryi, bo mają po drodze, i proszą mundurowych o użyczenie sprzętu. Mają nadzieję, że policjanci zdemontują głośnik z radiowozu i pozwolą na użytkowanie podczas meczu. Takie pomysły i jeszcze bardziej absurdalne przychodzą do głowy mieszkańcom naszego powiatu, którzy traktują policję jak instytucję pomocy wszelakiej. Największym zaufaniem publicznym obdarzony jest dyżurny, który odbiera telefony od żądających pomocy interesantów. Czasem ma wrażenie, że pracuje w poradni psychologicznej.

Telefon na policję traktowany jest jak telefon zaufania. Dzwoni na przykład desperat, który informuje, że za chwilę popełni samobójstwo. I odkłada słuchawkę. Policjanci traktują taki sygnał bardzo poważnie. Ustalają, skąd pochodzi sygnał i jadą z nadzieją, że nie będzie za późno. Docierają na miejsce, a tam widzą zamroczonego alkoholem jegomościa, żywego na tyle, na ile pozwalają promile płynące we krwi, i zadowolonego, że wzbudził w kimś zainteresowanie. Jak mówi rzecznik KPP Piotr Klimaszewski, takie telefony zdarzają się dość często i żadnego nie można zlekceważyć. Bywa, że dzwoniący chce po prostu zwrócić na swój problem uwagę i telefon na policję ma mu to zagwarantować. Rekordzista w ubiegłym roku dzwonił trzy razy. Choć zdarzają się i poważne zdarzenia. W naszym powiecie nie raz policjanci ratowali desperatów od samobójczej śmierci. Byli też tacy niedoszli samobójcy, którzy z premedytacja czekali na interwencję patrolu.

Zdarzało się i tak, że jeden z mieszkańców powiatu telefonował na komendę, by opowiedzieć o tym, co u niego słychać. Robił to dość regularnie. Pytany, dlaczego wydzwania, odpowiedział, że nie ma już pieniędzy na karcie, żeby dzwonić do znajomych, a na policję telefon jest bezpłatny.

Jest też w okolicy kobieta, która dzwoni na komendę w każdej sytuacji, kiedy czuje się, w jej mniemaniu, zagrożona. Na przykład mówi: *Idę do apteki i boję się. Proszę wysłać patrol.* Po wielu telefonach od tej pani policjanci już wiedzą, że maja do czynienia z osobą, która pewnie potrzebuje pomocy, ale raczej nie mundurowych. Jednak zawsze z nią rozmawiają i, kiedy to możliwe, zapewniają, że patrol jest w pobliżu. A wszystko zaczęło się od tego, że kobieta zadzwoniła z alarmująca informacją, że jest gwałcona przez pana X. Policjanci ruszyli na sygnale na pomoc, ale na miejscu okazało się, że nie mogą dostać się do jej mieszkania. Kiedy łomotali do drzwi, rzekomo gwałcona ponownie dzwoniła na komendę, by powiedzieć, że właśnie do jej drzwi dobijają się Czeczeńcy i ona potrzebuje pomocy policji. Niestety, nie ma możliwości ukarania kobiety za marnowanie czasu funkcjonariuszy, bo stwierdzono u niej chorobę psychiczną, a to wiąże się z brakiem odpowiedzialności za wszelkie wybryki. Dlatego dyżurny na komendzie raczony jest opowieściami o sąsiedzie, który siedzi w klatce wentylacyjnej i podgląda panią, gdy ta chce się wykąpać.

Nie zawsze jednak tylko osoby chore psychicznie wydzwaniają na komendę z nieuzasadnionych powodów. Bywa, że alkohol dodaje ludziom nadmiernej odwagi, a wtedy na przykład zakładają się, wychodzący z lokalu podchmieleni młodzieńcy, jak szybko przyjedzie radiowóz na ich wezwanie. Może będą to 3 minuty, może 7? Radiowóz przyjeżdża, któryś z panów wygrywa, ale potem i tak płaci mandat za nieuzasadnione wezwanie.

Kiedyś mocno sponiewierani przez alkohol mieszkańcy ulicy na obrzeżach miasta, będąc w centrum, uznali, że mają za daleko do domu, więc zadzwonili po radiowóz jak po taksówkę. Niestety, policjanci nie okazali się życzliwi i nie podwieźli. Podobnie jak w sytuacji, kiedy młodzi imprezowicze domagali się przywiezienia im alkoholu, bo podczas „domówki" skończyło się piwo.

Czasami są takie zgłoszenia, które wprawiają policjantów w zdumienie. Na przykład mama z nastolatkiem przyszli, by złożyć doniesienie o kradzieży smoczych dukatów.Strata została wyceniona na kilkaset złotych. Policjanci byli lekko zakłopotani, ponieważ nie od razu pojęli, czym jest przedmiot, który został utracony. Okazało się podczas rozmowy, że chodzi o grę komputerową i wirtualną walutę (itemy), którą od „poszkodowanego" pożyczył kolega i nie oddał. Inne zgłoszenie dotyczyło nieoddanej przez znajomego czerwonej deski, również rekwizytu ze świata wirtualnego. Takie sprawy są umarzane. Podobnie jak zgłoszenie o kradzieży dzid indiańskich – tym razem rzekomo całkiem realnych. Dorosły mężczyzna uznał, że stracił aż 10 tysięcy złotych. W trakcie przesłuchania okazało się, że owe cenne dzidy to zabawki przywiezione z „wystawki" z Niemiec.

Pomysłowość petentów nie zna granic. Po pierwszych opadach śniegu na komendę dzwoni zdenerwowany mężczyzna i mówi: *Śnieg pada.* Funkcjonariusz pyta, czego w związku z tym oczekuje dzwoniący, a ten odpowiada: *No zróbcie coś z tym.* Jak widać zaufanie do policji jest naprawdę godne podkreślenia. Świadczy o tym fakt, że są takie osoby, które, jeśli zapomną PIN-u do karty, to pytają policjantów, czy przypadkiem nie ma tych danych na posterunku.

Bywa, że nietypowe zgłoszenia wiążą się z błędnym przekonaniem złotoryjan o funkcjonowaniu numeru 112. Niestety, w naszym rejonie wciąż wszystkie rozmowy przełączane są na policję, więc funkcjonariusze są wzywani do człowieka, który zasłabł na ulicy, do rodzącej kobiety, do awarii energetycznej czy wodociągowej lub...zbyt wysokiej trawy przy szosie.

Kuriozalną sytuacją był telefon od zdenerwowanego małżonka, który prosił policjantów o interwencję w sprawach rodzinnych. Miał problem z żoną – nie chciała z nim współżyć. Policjanci mieli ją do tego nakłonić. Inny telefon to skarga kobiety, która miała dość swoich sąsiadów, bo uprawiali miłość zbyt głośno i ona przez otwarte okno wszystko słyszała.

Bywa, że telefonują również matki, by policjanci nastraszyli ich dzieci, z którymi nie dają sobie rady. Dyżurny zwykle wtedy tłumaczy, że policja nie jest od straszenia, jednak to nie satysfakcjonuje zdesperowanych rodzicielek.

Dużo zamieszania wprowadził również fan serialu „M jak Miłość", który dzwonił z informacjami, że ma dar jasnowidzenia i wie, jak potoczą się losy bohaterów serialu. Zwykle telefonował w porze emisji filmu i sugerował, by dyżurny wraz z nim śledził fabułę serialu.

Zabawne było zgłoszenie o kradzieży obiadu. Czynu tego miały dokonać gołębie, które wydziobały zawartość talerza pozostawionego przez gołębiarza na dworze.

Inny poszkodowany złożył doniesienie na sąsiada, że ten mu robi laserem dziury w ścianie, a znowu mieszkanka bloku wezwała policję, bo na jej balkon ktoś podrzucił materiały radioaktywne, które okazały się workiem gipsu.

Skargi na sąsiadów to chleb powszedni, ale hitem komendy był telefon od mężczyzny, który skarżył się na sąsiada – pszczelarza. Nie chodziło mu wcale o agresywne owady, ale o fakt, że pszczoły przylatują do jego ogrodu i wybierają JEGO nektar. Straty wycenił na 500 złotych. Policjanci musieli, zgodnie z procedurą przyjąć zgłoszenie, ale trudno było wycenić wartość nektaru skradzionego przez swawolne pszczoły. Nie znaleźli zatem w ich działaniu cech przestępstwa, więc umorzyli postępowanie.

Innym razem na komendę przyszedł pan, który chciał dostać zaświadczenie dla Urzędu Pracy, że jest trzeźwy. Odmówił jednak badania alkomatem, ponieważ, jak mówił, wypił dwa piwa. Zaświadczenia nie dostał, a na policję zadzwonił potem urzędnik, że pan się awanturuje, bo policja nie chciała mu wydać zaświadczenia.

W ciągu doby dyżurny przyjmuje setki telefonów, są dni, kiedy jest 20 – 30 poważnych interwencji, gros telefonów to te, które nadają się na scenariusz komedii w konwencji Monty Pythona.

Ludzie nie zdają sobie sprawy, że blokowanie linii może skończyć się prawdziwym dramatem dla tych, którzy w tej chwili potrzebują rzeczywistej pomocy.

Iwona Pawłowska
na podstawie materiałów zgromadzonych przez rzecznika KPP w Złotoryi Piotra Klimaszewskiego.

14.15 aus Pilgramsdorf

Pani Neumann czuła się już znacznie lepiej; o wiele lepiej niż przed kilkoma tygodniami. Męczące bóle głowy minęły, a uporczywy, suchy kaszel nie dokuczał już tak, jak przed przyjazdem do Hermsdorf Bad. Niestety, tej soboty nie mogła spodziewać się wizyty swojego męża i dzieci, gdyż pan Neumann postanowił zabawić na przyjęciu urodzinowym swojej ciotki. A ciotka nie była byle kim, jej piękna willa przy Gardenstrasse w Breslau słynęła z odwiedzin wykwintnego towarzystwa, między innymi malarki Clary Sachs. Po prostu nie wypadało tam nie być! Pani Neumann uważała, że zaniechanie wizyty przez męża mogłoby być źle odebrane przez miastową elitę. Tym sposobem sobotnie popołudnie zostało zaplanowane już kilka dni temu, przy nieocenionej pomocy Katheriny. Najpierw poranne błotne kąpiele, a po obiedzie pojadą pociągiem do Gröditzberg. Miejscowość leżała kilka kilometrów od kurortu i zachwycała zamkiem, który pamiętał jeszcze czasy średniowiecza. Przy okazji miały odwiedzić właściciela majątku, pana von Dircksena z Berlina, którego wspaniałe księgozbiory, miniatury i sztychy były przedmiotem pożądania wielu znanych kolekcjonerów w Breslau.

Późnym popołudniem, kiedy Katharine przygotowała panią do podróży - starannie upięła jej piękne hebanowe włosy dwoma grzebykami w formie ważki, dziełem jubilera z Goldberg. Pomogła przy haftkach w bladoróżowym kostiumie, nałożyła botki z cielęcej skórki, a do ręki wzięła narzutkę swojej pani. Obie były gotowe do wyjścia. Udały się w kierunku stacji Hermsdorf Bad. Pociąg czekał już od kilku minut, gdyż miał tutaj dłuższy postój. Pasażerowie często wysiadali i delektowali się źródlaną wodą. Panie zbliżyły się do zawiadowcy - pana Heinego, a ten zakręcając swojego sumiastego wąsa poinstruował je, gdzie mają wsiąść. Pociąg ruszył w kierunku Löwenberg. Nagle, ku zaskoczeniu pasażerów, stanął na stacji w Pilgramsdorf. Okazało się, że spotkała ich przykra niespodzianka. Było nią drzewo zwalone na tory podczas porannej burzy. Usunięcie szkód miało chwilę potrwać. Wszyscy pasażerowie musieli opuścić swoje przedziały i wyjść na peron. W promieniach gorącego lipcowego słońca stanęli przy budynku kolejowym. Z patefonu rozbrzmiewały marsze wojskowe, a żona zawiadowcy stacji, pani Krauze zaprosiła wszystkich na lemoniadę i piwo. Te przyjemności nic nie kosztowały, zrobiła to z grzeczności, a że pasażerów było niezbyt wielu, nie miała kłopotu, aby wspólnie ze swoją córką przygotować orzeźwiające napoje. Ot, typowa niemiecka gościnność. Przy kilku ratanowych fotelach zasiadły panie. Po miłych konwersacjach zawiadowca zapowiedział odjazd pociągu w dalszą trasę. Pani Neumann serdecznie podziękowała za gościnę żonie zawiadowcy. Wspólnie z Kathariną zajęły swoje miejsca i pociąg ruszył w kierunku Neudorf/ Gröditzberg.

Kolejnym przystankiem na naszej drodze jest dworzec w Pielgrzymce. Budynek dawnego dworca PKP został zbudowany na przełomie XIX i XX wieku przez Wernera z Sokołowca. Choć stary, nie jest wpisany do rejestru, ani też nie znajduje się w ewidencji zabytków. Praktycznie został przez wszystkich zapomniany. Przypisuje mu się jedynie wartość stacji IV klasy. Budynek nie ma wieży, a dawny magazyn jest zwrócony w kierunku południowo-wschodnim. W górnej części dawnych zabudowań dworcowych urządzone są mieszkania prywatne. Natomiast dolna część służy za zabudowę gospodarczą.

Wyobraźcie sobie państwo, jaki ruch i zgiełk musiał panować kiedyś na dworcu, skoro w roku 1903 sprzedano tutaj 30 221 sztuk biletów, a w roku 1905 o 5 tysięcy więcej. Nie mówiąc już o roku 1928, kiedy liczba sprzedanych biletów wyniosła rekordową liczbę 46 829 sztuk *(„Koleje regionu kaczawskiego" - Przemysław Dominas)*.

Stacji zapewne nigdy nie zostanie przywrócona dawna świetność. Budynek będzie niszczał – jakby na życzenie fotografów-amatorów – a to wszystko w malowniczo położonej miejscowości Pielgrzymka. C.d.n.

Tomasz Szymaniak

Goldberg–Liegnitz. / Liegnitz–Goldberg.

			81.	83.	85.	87.	Entfernung km	Stationen und Haltestellen		80.	82.	84.	86.			
			Gemischte Züge 2.–4. Klasse							Gemischte Züge 2.–4. Klasse						
			Vm.	Nm.	Nm.	Nm.				Vm.	Vm.	Nm.	Nm.			
—	—	—	6 17	12 50	4 37	9 21	0,0	Abf. Goldberg	Ank.	6 46	11 2	4 9	8 59	—	—	—
—	—	—	7 12	1 12	4 19	9 42	5,3	Kosendau		6 34	10 49	3 56	8 46	—	—	—
—	—	—	7 28	1 32	5 19	10 2	10,1	Wildschütz		6 17	10 31	3 37	8 28	—	—	—
—	—	—	7 39	1 43	5 34	10 24	14,0	Pahlowitz		6 6	10 15	3 21	8 12	—	—	—
—	—	—	7 56	2 0	5 51	10 41	21,4	Ank. Liegnitz	Abf.	5 41	9 51	2 58	7 48	—	—	—
			Vm.	Nm.	Nm.	Nm.				Vm.	Vm.	Nm.	Nm.			

Rozkład jazdy pociągów na linii Legnica - Złotoryja z 1885 r. Ze zbiorów Adama Pocześniaka

Kręte drogi nadkaczawskiej kolei

Są decyzje, które wpływają na całe pokolenia. Po latach zwykle rozważamy ich warianty, zastanawiamy się, czy były słuszne, albo czy ich modyfikacja w odpowiednim czasie dałaby lepsze rezultaty. Wielu jest przeciwników takiej gdybalologii, wykazujących bezsens rozważań, gdy coś stało się i już się nie odstanie. Są jednak jej zwolennicy, którzy twierdzą, że ze wszystkich działań należy wyciągać wnioski na przyszłość i uczyć się na błędach, aby uniknąć ich w przyszłości.

Jedną z takich decyzji, która w znaczący sposób przekształciła ziemię złotoryjską, zdeterminowała kierunki rozwoju, była budowa sieci linii kolejowych. W przyszłym roku będziemy obchodzić 130 rocznicę uruchomienia połączenia kolejowego Złotoryi z Legnicą.

Niedawno, w rubryce „Warto przeczytać" Roman Gorzkowski zachęcał do lektury książki „Koleje regionu kaczawskiego" autorstwa Przemysława Dominasa. Trochę trwało, zanim wyciągnąłem książkę z półki i przeczytałem. Koleją interesuję się średnio, dostrzegam w niej bardziej potencjał fotograficzny, aniżeli subtelności typu: jaki typ lokomotywy kursował na danej linii, albo jaki system sterowania ruchem był używany. Dlatego też i książkę przeczytałem koncentrując się przede wszystkim na aspektach ekonomicznych i społecznych, a nie na technicznych.

Czym była budowa kolei dla mieszkańców ziemi złotoryjskiej końca XIX w.? Trudno to sobie wręcz wyobrazić z dzisiejszej perspektywy. Skala przedsięwzięcia , to tak jakby teraz wybudować na tych terenach drogę ekspresową – dwupasmową z mnóstwem wiaduktów i obwodnic. Dla dzisiejszej Złotoryi – rzecz zupełnie nierealna, przede wszystkim z przyczyn ekonomicznych.

Jak dalece wpłynęła budowa na rozwój ziemi złotoryjskiej? Najlepiej zilustrować to przykładem. Już w połowie XVIII wieku z kopalni w Wojcieszowie, założonej z rozkazu króla Pruskiego, transportowano bloki marmurowe do Poczdamu. Mówimy tu o wielkich, wielotonowych kamiennych głazach w czasach, gdy siłą napędową był koń żywy, a nie mechaniczny. Dopiero 100 lat później w 1846 r. zaczęły jeździć pociągi z Wrocławia do Berlina. Nieco wcześniej otwarto linie kolejową do Opola, do Jaworzyny Śląskiej i do Głogowa. Nic więc dziwnego, że i mieszkańcy ziemi złotoryjskiej już w latach pięćdziesiątych XIX w. zaczęli intensywnie myśleć o połączeniu z resztą świata. Nie było to jednak takie proste. Państwo pruskie nie robiło prezentów swoim obywatelom, chociaż zachowywało się trochę jak dzisiejsza Unia Europejska, dokładało się do projektu, pod warunkiem, że był wkład własny i to raczej znacznie większy niż 50%. Inwestycja była jednak ponad siły lokalnej społeczności. Z pomocą przyszło miasto Legnica, które pod wykup gruntów przyszłej kolei do Lwówka i do Marciszowa przekazało znaczące kwoty ze swojego budżetu. Oczywiście miało w tym swój interes. Przede wszystkim liczyło na skrócenie drogi do Jeleniej Góry. Pierwsze połączenie przez Węgliniec liczyło sobie 148 km, kolejne przez Wałbrzych przybliżyło te dwa miasta o 23 km. Budowa kolei do Lwówka skróciłaby ten dystans do 109 km, a do Marciszowa do 80 km. Ot, rajcy legniccy umieli liczyć, ale przede wszystkim nie bali się inwestować poza granicami własnego miasta. Dzisiaj, pomijając aspekt prawny, który raczej nie pozwala gminom inwestować poza terenem przez nie administrowanym, to obserwując jak bardzo „szanują" własne pieniądze, szczelnie zamykając się we własnych granicach, takie decyzje z przyczyn mentalnych byłyby nie do pomyślenia. Liczyć umieli też lokalni przedsiębiorcy, którzy również dorzucili się do projektu. To takie partnerstwo publiczno-prywatne sprawiło, że 12 października 1884 r. uroczyście otwarto połączenie kolejowe Legnica – Złotoryja.

Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że prezydentem rejencji legnickiej w latach 1868-85 (czyli kluczowych dla powstania linii kolejowej) był niejaki Constantin baron von Zedlitz-Neukirch, który jak wskazuje drugi człon jego nazwiska, był bardzo związany z Nowym Kościołem. Ucinając spekulacje, na ile fakt jego pochodzenia oraz majątków, które posiadał w tym rejonie, wpłynął na taki a nie inny przebieg szlaku kolejowego, trzeba wyraźnie stwierdzić, że w kierunku Świerzawy trasę kolei determinowała dolina Kaczawy. Natomiast zapewne był on tym, który był skłonny popierać rozbudowę kolei w tym kierunku. Takie połączenie interesu społecznego i własnego, nieobce i dzisiaj.

Jeszcze po uruchomieniu linii kolejowej pomiędzy Legnicą i Złotoryją, aż do 1891 roku trwała dyskusja nad usytuowaniem dworca kolejowego w naszym mieście. Najwyraźniej dzisiejsza lokalizacja nie za bardzo odpowiadała ówczesnym mieszkańcom. Stroma droga, zwłaszcza zimą nastręczała zapewne wiele problemów głównie w transporcie towarów do i z dworca. Stację chciano usytuować po południowej stronie miasta. Całkiem możliwe, że w pobliżu ówczesnej cegielni. Wpisywało się to w projekt budowy linii kolejowej łączącej Złotoryję z Jaworem. Planowano, że będzie to przede wszystkim linia towarowa. W 1882 roku powołano w Złotoryi zarząd spółki, która miała się zająć budową, a sejmik powiatowy przeznaczył na nabycie akcji tej spółki kwotę 60000 marek przy szacowanym koszcie realizacji inwestycji na poziomie 1 mln. marek. Połowę tej kwoty zaoferowała firma Lenz & Co ze Szczecina, zajmująca się budową kolei, 100 tys. marek wysupłało nadleśnictwo, resztę zobowiązały się przekazać zainteresowane budową kolei firmy z tego terenu. Niestety budowę odsuwano w czasie.

W 1907 r. przeprowadzono pomiary. Wówczas oszacowano koszt budowy na 2 mln. marek. ¾ tej kwoty mieli solidarnie wyłożyć: państwo pruskie, prowincja Legnica oraz firma Lenz & Co. Na resztę miały się zrzucić miasta, gminy i lokalni przedsiębiorcy. Projekt proponowany przez firmę Lenz & Co w 1909 zakładał przedłużenie linii do Jerzmanic poprzez przebicie tunelu za kwotę 800 tys. marek, co świadczyłoby o tym, że dworzec kolejowy planowano umiejscowić gdzieś niżej. Gdzie dokładnie? Osobiście stawiałbym na okolice, gdzie do niedawna funkcjonował dworzec PKS, ale to tylko moje domniemanie.

Jak dzisiaj wyglądałaby Złotoryja, gdyby projekty te udało się wcielić w życie? Gdyby wybuch I wojny światowej, a następnie kryzys, w jakim pogrążyły się Niemcy, ostatecznie nie zniweczył tych planów? Jak wyglądałby i jak przebiegał tunel kolejowy? Być może, gdyby to się udało, kolej na ziemi złotoryjskiej rozwijałaby się i do tej pory kursowałyby pociągi do Marciszowa i dalej do Jeleniej Góry oraz do Lwówka i dalej do Gryfowa i może Świeradowa? Być może wtedy i projekt bezpośredniego połączenia Świerzawy z Jelenią Górą przez Podgórki, za którym optowali przemysłowcy z Jeleniej Góry zostałby zrealizowany? Wyobraźmy sobie połączenie kolejowe Wrocław – Jelenia Góra, gdy pociągi zamiast trzech godzin potrzebowałyby niespełna dwóch na pokonanie tej trasy.

Niestety pozostaje nam „gdybalologia". Ale czy nie powinniśmy się czegoś przy tej okazji nauczyć? Choćby w sprawie budowy obwodnicy Złotoryi?

Linię w kształcie, jaki pamięta jeszcze wielu mieszkańców Złotoryi – do Marciszowa i do Lwówka Śląskiego ukończono w 1896 r. Była to na pewno inwestycja, która przeobraziła te tereny, umożliwiła rozwój produkcji, górnictwa i handlu, a ludziom - pracę poza terenem zamieszkania. Uruchomiła procesy społeczne, otworzyła miejscowości tego terenu na świat. Widać to na przykładzie Wojcieszowa, w którym dzięki kolei szybko zaczął rozwijać się przemysł związany z wydobyciem wapienia. Kilka lat po uruchomieniu linii kolejowej produkcja wapna wzrosła do 17000 ton, a zatrudnienie do 600 osób. Możliwość ekspediowania urobku koleją z pewnością skłoniła niejakiego Christiana Maasa do założenia w 1904 roku trzeciego w Wojcieszowie kamieniołomu na górze Trzciniec.

Jak można wyczytać z książki Przemysława Dominasa, budowa kolei to nie było tylko przedsięwzięcie inżynieryjne, ale również prawne. Należało wykupić tereny, tam gdzie był opór mieszkańców, należało doprowadzić do wywłaszczenia, ale zgodnie z prawem. Pamiętajmy, jest koniec XIX w. Kapitalizm w najbardziej ohydnej, jak uczono mnie kiedyś w szkole, brutalnej formie. W dodatku monarchia, autokratyzm, urzędnicy wyznaczani przez króla, mający nieograniczone uprawnienia…, ale w granicach prawa. To dlatego, gdy młynarz Fleissig nie zgadzał się na zbycie kawałka swojego sadu, na pertraktacje z nim przyjechał z Berlina tajny radca rejencyjny Rock. Lekcja praworządności, ale i samorządności, bo to często mieszkańcy decydowali np. gdzie będzie dworzec kolejowy. Tak było np. w przypadku Lwówka Śląskiego. Rzecz jest tym bardziej interesująca, że usytuowanie stacji kolejowej wymogli na włodarzach miasta mieszkańcy… Płakowic, którzy chcieli mieć po prostu bliżej do węzła kolejowego. Przysporzyło to budowniczym wiele kłopotów. Jeden z wariantów bowiem zakładał budowę mostu-wiaduktu nad Bobrem o długości prawie 500 metrów, czyli niewiele mniejszego niż w Bolesławcu. Ostatecznie linię poprowadzono zataczając wielki łuk na północ od miasta. Czy dzisiaj władze Złotoryi przejęłyby się jakimś postulatem mieszkańców np. Kopacza w sprawie przedłużenia alejki równoległej do ul. Legnickiej?

Inny aspekt to udział lokalnej społeczności w staraniach o usytuowanie przystanków kolejowych. Przez wiele lat mieszkańcy Czapli starali się, żeby pociągi zatrzymywały się w ich miejscowości. Sprawa dotarła aż do Berlina. Zarząd kolei, nie chciał się zgodzić na budowę przystanku, prawdopodobnie dlatego, że nachylenie terenu sprawiałoby kłopoty dla ruszającego pociągu. Mieszkańcy jednak dopięli swego. Z dzisiejszej perspektywy dziwnym może wydawać się, że lokalne społeczności chciały mieć tuż obok siebie szlak kolejowy i całą infrastrukturę. Że nie broniły się przed nowoczesnością, a w rozwoju linii kolejowej widziały szansę, a nie zagrożenie. Na pewno istniał strach przed pędzącymi z zawrotna prędkością 20,30 nawet 40 km/h stalowych potworów, na pewno któremuś rolnikowi krowy przestały dawać mleko, a kogoś w nocy budził stukot kół, ale ludzie wiedzieli, że jeżeli będzie rozwijać się region, im będzie żyło się lepiej – będzie przede wszystkim praca. Trudno się oprzeć pokusie, żeby w tym miejscu po raz drugi nie odnieść się do problemów związanych z budową obwodnicy Złotoryi, czy niektórymi inwestycjami przemysłowymi.

Oczywiście nie zawsze było tak pięknie. Urzędnik potrafił postawić na swoim, gdy w majestacie prawa mógł albo pozwolić, albo zabronić. Tak było w przypadku Chrystiana Berlina właściciela fabryki wyrobów czekoladowych, któremu zamknięto bocznicę kolejową w Nowym Kościele. Pan Berlin chciał nabyć rzeczoną bocznicę. Sprawa trafiła do Wrocławia, gdzie podtrzymano lokalna decyzję. Pan Berlin nie dał za wygraną i zwrócił się w 1916 r. do ministra. Przypomnijmy: trwa pierwsza wojna światowa. W okopach pod Vedun giną i umierają tysiące żołnierzy niemieckich, a na spokojnym Dolnym Śląsku trwa spór, którego stawką jest dostawa do wszystkich rejonów Niemiec za pośrednictwem kolei… wyrobów czekoladowych. Fabryka produkowała w tym czasie ok. 1200 kg wyrobów dziennie, lecz pan Berlin wierząc w zwycięstwo Niemiec planował zwiększyć znacznie produkcję i planował, że tygodniowo będzie odbierał ok. dziesięciu wagonów materiałów i surowców potrzebnych do realizacji tych zamierzeń. Mamy tu przedsiębiorcę, który zatrudnia ludzi, płaci prawdopodobnie podatki, chce się rozwijać i decyzję urzędniczą, która rzuca mu kłody pod nogi. Ostatecznie, prawdopodobnie przy wsparciu władz nadrzędnych rozwiązano problem bocznicy i wyroby czekoladowe z Nowego Kościoła trafiły do niemieckich domów.

Wiele jest w książce Przemysława Dominasa takich smaczków, opowieści o przetargach, o tym, jakie firmy budowały poszczególne obiekty. Autor opisuje problemy, z jakimi borykali się budowniczowie. Ale przede wszystkim są tam informacje, które znacząco poszerzają wiedzę na temat historii naszej ziemi. Dla tych, co mają kompleks niemieckości ziemi złotoryjskiej, są też polonika. Znaczącą rolę w budowie kolei na tym terenie odegrali robotnicy sezonowi z Wielkopolski, ale również Polacy z zaboru rosyjskiego. Choć to, jak określił pewien człowiek mocno związany z historia tych ziem, raczej dumy nam przysparzać nie powinno. Dlatego książkę warto chociażby dokładnie przejrzeć, tym bardziej, że rzecz traktuje o czymś, co bezpowrotnie przemija i raczej następnych 130 lat nie przetrwa.

Robert Pawłowski

Małe radości Filipa

Większość czasu spędza na wersalce. Kiedy spotykam go w styczniowe popołudnie w wojcieszowskim mieszaniu na I pierze, leży przykryty kocem. Wygięte w łokciach ręce, przykurczone dłonie i spastyczność twarzy silnie zdradzają jego chorobę – najcięższą postać porażenia mózgowego. Gdy urodził się 15 lat temu we wrocławskiej klinice, nie od razu rozpoznano jego kalectwo. Lekarze poinformowali matkę, że najprawdopodobniej syn ma uszkodzenie mózgu spowodowane niedotlenieniem. Dopiero po 11 miesiącach stwierdzono czterokończynowe porażenie mózgowe. To był cios dla pani Agnieszki, która została sama ze swoją bezradnością. Niewiele wiedziała o postępowaniu w przypadku tej choroby, ale zaczęła szukać pomocy. Powoli zajęto się rehabilitacją niemowlaka. Postępy były zauważalne, Filip przynajmniej mógł sam przewracać się z boku na bok (teraz tego nie jest w stanie wykonać).

Dziecko rosło i lekarze uznali, że potrzebne będą zabiegi chirurgiczne, które ułatwią Filipowi koordynację ruchową. I zaczęło się nastawianie rzepki kolanowej, prostowanie stóp i parę jeszcze innych działań, które efektów wielkich nie przyniosły, ale dostarczyły mnóstwo bólu i spowodowały długo gojące się rany. Wielomiesięczna rekonwalescencja ograniczyła możliwość zajęć rehabilitacyjnych. Filip zamiast po operacjach czuć się lepiej i wracać do sił, cofnął się w rozwoju fizycznym. Na dodatek, to co miało pomóc, nie do końca się udało, jak na przykład operacja kolana. Pojawiły się też silniejsze przykurcze. Matka Filipa nie może do końca zrozumieć, dlaczego lekarze narażali dziecko na stres i ból, operując nogi, skoro Filip i tak nigdy nie będzie chodzić. Pomoc wskazana jest w usprawnianiu rąk i dłoni oraz w niwelowaniu spastyczności. Teraz Filip czeka na wszczepienie pompy baklofenowej, która dozuje lek w zależności od potrzeb organizmu. Działanie medykamentu będzie skuteczniejsze niż przy podawaniu tabletek.

Filip mimo swego kalectwa chciałby żyć zwyczajnie. Trzy razy w tygodniu przyjeżdża pod jego blok samochód ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Złotoryi i zabiera chłopca na lekcje.

Zajęcia odbywają się w trybie indywidualnym. Ze wszystkich przedmiotów Filip najbardziej lubi biologię i geografię z panią Marzeną. Nie pisze na lekcjach, bo nie ma jak. Wszystkie notatki sporządzają za niego nauczyciele, a potem w domu mama mu je czyta, gdyż Filip sam nie potrafi.

Chłopca bardzo cieszą wyprawy do szkoły, bo jest wreszcie wśród swoich rówieśników. *Dzieciaki są naprawdę sympatyczne i życzliwe* – mówi jego mama. *Nie ma problemu, by wnieść wózek z Filipem po kilku schodach, bo zawsze znajdą się chętni chłopcy, by wtargać ten ciężar.* Filip pytany, co mu się podoba w wyjazdach, mówi: „powrót do domu".

Jest chłopcem bardzo przywiązanym do mamy, tęskni, będąc z dala od niej. Nic dziwnego – pani Agnieszka jest jak jego cień. Poza wyjazdami do szkoły towarzyszy mu cały czas. Bywa, że nie daje już rady. Nie pracuje, bo Filip wymaga stałej opieki (oboje żyją z zasiłku i alimentów od ojca Filipa). Chłopiec nie zje, nie ubierze się, nie pójdzie do toalety, nie usiądzie bez cudzej pomocy. Panią Agnieszkę najbardziej niepokoi, że kiedyś ona nie wytrzyma i Filip będzie zdany na łaskę obcych ludzi. Już teraz ból kręgosłupa, jaki odczuwa pani Agnieszka, daje powód do niepokoju, że nie da rady znosić i wnosić Filipa po kilkudziesięciu schodach – bariere nie do pokonania przez wózek inwalidzki. Dlatego też najczęściej Filip spędza czas w domu na tej wersalce, na której go zastałam. Co robi? Zwykle ogląda telewizję.

Uwielbia teleturnieje, a szczególnie „Jaka to melodia?". Jest rewelacyjny jeśli chodzi o rozpoznawanie szlagierów. Fascynacja teleturniejem przyczyniła się do tego, że fundacja „Spełniamy Marzenia" umożliwiła Filipowi wyjazd do Warszawy i uczestniczenie w nagraniu programu. Chłopiec poznał prowadzącego, słynnego Roberta Janowskiego i zamienił z nim kilka słów. Od pamiętnej wizyty jeszcze chętniej obserwuje zmagania uczestników „Jaka to melodia?". I to w zasadzie jedyna jego rozrywka. Nie czyta, bo nie umie, nie gra na komputerze, bo nie może posługiwać się klawiaturą, nie spędza czasu z rówieśnikami, bo nie ma kolegów. Jak na swój stan i tak jest pogodnym dzieckiem.

Pytany o marzenia, mówi: *Trudne pytanie mi pani zadaje.*

Filipowi można przywrócić marzenia, można dać mu szansę na bardziej normalne życie, spróbować rozbudzić w nim pasję. Trzeba jednak umożliwić mu kontakt ze światem, zniwelować barierę dzielącą go od ludzi. Pani Agnieszka stara się o uzyskanie środków na zbudowanie platformy zewnętrznej, która pozwoliłaby Filipowi częściej i samodzielnie opuszczać mieszkanie. Potrzebna jest też pomoc rehabilitanta. W Wojcieszowie nie ma poradni, która służyłaby fachową poradą.

Redakcja „Echa Złotoryi" liczy na swoich czytelników, którzy już nie raz okazali dobre serce i wrażliwość. Jeśli ktokolwiek chciałby pomóc Filipowi Chlaście z Wojcieszowa – bardzo prosimy o kontakt z redakcją.

Iwona Pawłowska

Dobry biznes z BZ WBK

Bez względu na wielkość, profil, ilość pracowników czy branżę każda firma potrzebuje dobrych, sprawdzonych usług bankowych. Usług dopasowanych do jej specyfiki, pomagających w rozwijaniu biznesu, zapewniających wsparcie. O takich właśnie usługach rozmawiamy z Reginą Kozajdą, Aliną Ostrowską, Marią Urszel Doradcami z Zespołu MŚP 1 Oddziału BZWBK w Złotoryi.

Ostatnio dużo mówi się o „małych" i „mikro-firmach". Modnym pojęciem stało się samozatrudnienie. Czy jednak usługi bankowe nadążają za tymi tendencjami na rynku?

W Banku Zachodnim WBK – tak. W naszej ofercie mamy trzy biznes- pakiety przygotowane właśnie z myślą o małych i mikro- przedsiębiorstwach. Ich konstrukcja i ilość umożliwia maksymalne dopasowanie do indywidualnych potrzeb przedsiębiorców.

Ale co to oznacza? Czy jeśli prowadzę np. mały sklep spożywczy mogę teraz płacić za konto mniej niż duża firma? Zazwyczaj jedni i drudzy płacą tyle samo.

Dokładnie o to chodzi. W pierwszym z pakietów nazwanym Biznes Pakiet MINI miesięczna opłata za prowadzenie rachunku wynosi zaledwie 9,99 zł. Drugi z naszych pakietów – Biznes Pakiet OPTI, przeznaczony jest dla firm, które prowadzą działalność średniej skali, ale już potrzebują czegoś więcej niż tylko rachunku bieżącego. Stąd w Biznes Pakiecie OPTI w ramach stałej miesięcznej opłaty wysokości 25 zł, przedsiębiorcy otrzymują również bezpłatny rachunek dodatkowy oraz bezpłatny rachunek walutowy prowadzony w euro. Mniej płacą również za przelewy złożone za pośrednictwem bankowości elektronicznej do innych banków. W Biznes Pakiecie MINI jest to bowiem 1,5 zł, a w OPTI - 1 zł.

Czy przelewy do ZUS i urzędów skarbowych kosztują tyle samo?

Nie, te przelewy realizowane za pośrednictwem bankowości elektronicznej są po prostu bezpłatne we wszystkich trzech pakietach. Bank pobiera jedynie opłatę za smsKody, którymi autoryzowane są przelewy, przy czym wysłanie pierwszych pięciu smsKodów w danym miesiącu także jest bezpłatne, każdy kolejny to koszt 0,20 zł. Autoryzacja przelewów internetowych może odbywać się również za pośrednictwem tokena. Za wydanie tokena pobierana jest opłata jednorazowa w wysokości 70 zł.

Mówiliśmy o trzech pakietach. Dla kogo jest ten trzeci?

Biznes Pakiet MAXI dedykujemy firmom o zróżnicowanych potrzebach. Także i w tym przypadku posiadacz rachunku w ramach stałej miesięcznej opłaty, wynoszącej 60 zł, dokonuje przelewów w usługach BZWBK24 do ZUS i urzędów skarbowych za darmo, a koszt przelewu do innego banku wynosi 0,7 zł. Wspomniałem, że to pakiet dla firm o zróżnicowanych potrzebach, które wykonują więcej transakcji, np. dla potrzeb rozliczeń z kontrahentami potrzebują więcej rachunków, stąd w ramach stałej miesięcznej opłaty przedsiębiorca może otworzyć do 50 rachunków prowadzonych w złotych. Dodatkowo może wybrać sobie jeden rachunek walutowy prowadzony w euro, funtach (GBP), dolarach (USD) lub frankach szwajcarskich również bez dodatkowej opłaty za jego prowadzenie. To dobra wiadomość dla firm, które współpracują z zagranicznymi kontrahentami

A jakieś gwiazdki? Mały druk?

Nasza oferta jest przejrzysta i maksymalnie prosta. Proponujemy konkurencyjne stawki za prowadzenie rachunku oraz przelewy. Nie stawiamy też barier co do formy prowadzonej działalności.

Jedna stała opłata, w ramach której klient otrzymuje rachunek i szereg udogodnień oraz niskie, zbliżone do opłat pobieranych przy kontach osobistych opłaty za przelewy przez Internet do innych banków. To wszystko.

Dodałbym do tego jeszcze ponad 500 oddziałów BZ WBK i około 100 placówek partnerskich, bo – jak pokazują badania - duża i gęsta sieć placówek banku jest bardzo ważna dla przedsiębiorców.

Ale przecież rachunek to dopiero początek usług z jakich korzystają firmy. Czy zapewniają im państwo jakieś możliwości finansowania?

Dzięki atrakcyjnej ofercie kredytów zapewniamy indywidualne podejście do finansowania działalności naszych klientów, którzy mogą skorzystać z kredytów na finansowanie bieżącej działalności gospodarczej, finansowanie inwestycji oraz na realizację projektów unijnych. Bank Zachodni WBK umożliwia również finansowanie w leasingu maszyn i urządzeń, sprzętu biurowego, komputerów, specjalistycznego sprzętu medycznego oraz samochodów.

Powróćmy do samozatrudnienia. Czy pomagają Państwo w jakiś sposób firmom, które dopiero rozpoczęły działalność?

Tak, wszystkie nowe pakiety wyposażyliśmy w tzw. opcję start-up. To rozwiązanie polega na zwolnieniu firmy z opłaty za prowadzenie rachunku przez okres 9 miesięcy. Mogą z niego korzystać firmy, które prowadzą działalność gospodarczą krócej niż 12 miesięcy.

A co trzeba zrobić, aby móc korzystać z tych wszystkich udogodnień?

Wystarczy być klientem Banku Zachodniego WBK. Serdecznie zapraszam do naszego oddziału, w którym uzyskają Państwo wszelkich szczegółowych informacji dotyczących oferty dla firm.

Bank Zachodni WBK, 1 Oddział w Złotoryi, zaprasza od poniedziałku do piątku w godz. od 9.00 do 17.00.

Adres: Rynek 5, 59-500 Złotoryja
Nr tel: 768788445, 768788446, 768788464
www.bzwbk.pl

Czytają nas w Dreźnie

We wrześniowym numerze naszego pisma zamieściliśmy artykuł autorstwa Agnieszki Młyńczak pt. *Mazurek Dąbrowskiego w Niemczech.* Traktował on o wykładzie prof. Ludgera Udolpha, pracownika naukowego Wydziału Slawistyki na Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie pt. „Polscy migranci na Łużycach i w Saksonii na przykładzie Jana Henryka Dąbrowskiego". Wykład ten został wygłoszony na terenie Niemiec w niewielkim miasteczku Reichenbach, blisko granicy polsko–niemieckiej.

Tekst artykułu wysłaliśmy drogą elektroniczną prof. Ludgerowi Udolphowi, który w odpowiedzi przysłał e-mail. Całość drukujemy w oryginale i w języku polskim w przekładzie Magdaleny Maruck.

Agnieszka Młyńczak

Sehr geehrte Frau Mlynczak,
bitte entschuldigen Sie, daß ich so spät auf Ihre freundliche Email antworte; entschuldigen Sie auch, daß ich es in deutscher Sprache tue, denn leider kann ich Ihre schöne polnische Sprache „nur" lesen...
Ich erinnere mich sehr gut an Sie und an Ihre Tochter als sehr aufmerksame und interessierte Hörerinnen. Ich freue mich sehr, daß Ihnen mein Vortrag gefallen hat und ich bedanke mich bei Ihnen sehr herzlich für Ihre Komplimente!
Wenn Sie Ihren Bericht noch in Papierform haben, würde ich mich über eine Zusendung sehr freuen, sozusagen ein liebes Weihnachtsgeschenk.
Ich wünsche Ihnen und Ihrer Tochter noch eine schöne Adventszeit und ein gesegnetes.
Weihnachtsfest!
Ihr Ludger Udolph

Droga Pani Młyńczak,
bardzo przepraszam, że tak późno odpowiadam na Pani miły mail; proszę również o wybaczenie, że piszę po niemiecku, ale niestety Pani piękny polski język potrafię „tylko" czytać…
Dobrze przypominam sobie Panią i Pani córkę jako bardzo zainteresowane i uważne słuchaczki mojego wykładu. Bardzo się cieszę, że mój wykład podobał się Paniom i bardzo Pani dziękuję za komplementy!
Jeśli jeszcze posiada Pani artykuł w wersji papierowej, bardzo ucieszyłbym się z przesłania mi go – byłby to dla mnie piękny prezent bożonarodzeniowy.
Życzę Pani i Pani córce przyjemnego adwentu oraz wszelkiej pomyślności i błogosławieństwa Bożego na Święta Bożego Narodzenia!
Ludger Udolph

VI Kaczawski Jarmark Bożonarodzeniowy

czyli misterium jasełkowe

Do wnętrz gościnnego Pałacu Krotoszyce z każdym otwarciem drzwi wlewały się tłumy ludzi. W ogromnym pomieszczeniu byłych stajni, pomiędzy stylowymi kolumnami stały dziesiątki kramów z przeróżnymi towarami. Prawie pięćdziesięciu wystawców na przepięknie udekorowanych stołach prezentowało ozdoby świąteczne wykonane z drewna, kolorowego papieru, słomy i pszczelego wosku; na innych pyszniły się potrawy świąteczne, ciasta, pierogi, pasztety, susz owocowy; były miody, nalewki owocowe, nawet egzotycznie pachnące przyprawy. Wśród kramów przechadzali się odwiedzający, którzy oglądali z zachwytem wszystkie te wspaniałości. Na scenie w głębi pomieszczenia co chwila coś się działo, można było popatrzeć i posłuchać kolęd w wykonaniu zespołów ludowych i dziecięcych oraz muzyki. Nad wszystkim unosiła się świąteczna atmosfera, jaka zwykle panuje na kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem. Byli nawet żołnierze napoleońscy, którym towarzyszyła dama w stroju z epoki empire.

Jarmark Bożonarodzeniowy w Pałacu Krotoszyce fot. Magdalena Maruck

Ta grupa prezentowała materiały promocyjne 200. rocznicy bitwy o Złotoryję, która przypada na 24 sierpnia 2013 roku.

Z każdą godziną tłum gęstniał, widać było wyraźnie, że na coś czekano.

Ludzie stali głowa przy głowie, wyciągając szyje, aby znaleźć jakąś szparkę, zobaczyć choć skrawek sceny. Nie było czym oddychać, jednak nikt nie odchodził. Wszyscy tłoczyli się na niewielkiej powierzchni tuż przy scenie. W pewnym momencie pojawili się jasełkowi aktorzy, spoglądając na cały tłum trochę niepewnie. Zapadła najpierw pełna niedowierzania cisza, a zaraz potem na widowni wybuchł śmiech. Za chwilę zagrzmiały rzęsiste oklaski. Ścisk zrobił się jeszcze większy, wszyscy chcieli dostrzec i usłyszeć, co się dzieje na scenie. Nad głowami patrzących pojawił się las wyciągniętych rąk z przeróżnymi urządzeniami do fotografowania.

A było na co patrzeć. Oto na scenie pojawiły się powszechnie znane i szanowane samorządowe osoby publiczne, które, zwykle poważne, siedzą za biurkami w swoich gabinetach. Teraz ci wójtowie, burmistrzowie, dyrektorzy, przewodniczący, prezesi i biznesmeni stali przed widownią przebrani za pastuszków, królów, aniołów ze skrzydłami i rogatych diabłów. Był nawet Żyd i Śmierć z kosą. Rozpoczynało się misterium jasełkowe podczas VI Kaczawskiego Jarmarku Bożonarodzeniowego w Krotoszycach.

Dowcipny tekst jasełek z uwspółcześnioną zawartością, napisany prostym wierszem z łatwo wpadającym w ucho rymem zachwycił wszystkich bez wyjątku. No bo jak się nie śmiać, gdy pastuszkowie jeden drugiego upominają, starając się być politycznie poprawni: – *Co też ty mówisz? Czarny z Afryki? Uważaj, może to jakiś dziki! – Cichaj, bo jeszcze nas aresztują! Od czasów Beger wszystko filmują. – Ty nie mów „czarny", ani „poganin". To jest, kolego „afroamerykanin"!*

Ciż pastuszkowie, jako nader inteligentni chłopcy, pouczali nawet samego króla: – *Ja także wracać nie myślę wcale. Przewodnik drogę zna doskonale, jest Żydem przecież. – Oj, Baltazarze, za głośno pleciesz! Wszak lepiej mówić „Izraelita", bo wyjdzie, żeś jest antysemita!*

Bardzo współcześnie brzmiała kwestia Heroda również wywołując salwy śmiechu u oglądających: – *Co by tu zrobić, czym by się zająć? Coś muszę zrobić tu, nie zwlekając. Coś nudno jakoś w pałacu moim. Może się zajmę wyglądem swoim? I operację plastyczną zrobię? Co, jak mógł Jackson, może i człowiek!*

Aniołowie i diabły na scenie wysyłali esemesy, dzwonili na numer alarmowy 112, a wszyscy uczestnicy misterium swobodnie korzystali z wszelkiej techniki dostępnej nam w XXI wieku.

I chociaż widać było, że aktorzy nie za dobrze byli przygotowani, mikrofon często odmawiał posłuszeństwa, a stroje były mocno oszczędne, to i tak misterium jasełkowe odniosło ogromny sukces. A wraz z jasełkami cały jarmark w Krotoszycach zyskał na atrakcyjności.

Podczas gdy w grudniu w całym regionie miasteczka i wsie kipiały od ludzi tłumnie odwiedzających jarmarki i liczne okolicznościowe spotkania, w powiatowym mieście Złotoryja było pusto i cicho. Tylko martwa niby choinka na centralnym placu miasta, mrugająca kolorowymi światłami, przypominała o zbliżającym się Bożym Narodzeniu.

tekst Agnieszka Młyńczak

Jasełka były inicjatywą Stowarzyszenia Kaczawskiego. Została złożona propozycja udziału w przedstawieniu samorządowcom z terenu kilku powiatów i gmin. Spodobała mi się idea przedsięwzięcia, to znaczy ubarwienie banalnych jasełek osobami publicznymi. **[Starosta Powiatu Złotoryjskiego Józef Sudoł – rola Króla Melchiora]**

Pomysłodawcą jasełek było stowarzyszenie „Lokalna Grupa Działania Partnerstwo Kaczawskie" z Mściwojowa. Organizatorzy wpadli na pomysł, aby jasełkowymi aktorami były osoby publiczne naszych ziem. Pomysł trafił na dobry grunt. Wszyscy, którym zaoferowano role, zgodzili się grać w jasełkach. **[Przewodniczący Rady Powiatu Złotoryjskiego Zenon Bernacki – rola Żyda]**

Gdy powiedziano mi, że są jeszcze wolne role do zagrania, nie wahałam się ani chwili. Jednak postawiłam warunek, żeby rola była nieskomplikowana i mało tekstu, bo nie mam czasu się uczyć. Właściwie to od początku miałam być Archaniołem Michałem. **[Wójt Gminy Złotoryja Maria Leśna – rola Archanioła Michała]**

Józef Sudoł: Zaoferowano mi rolę jednego z trzech Króli. Miałem grać Melchiora. Podszedłem do tego na luzie. Myślę, że inni podobnie podeszli, potraktowaliśmy to jak przygodę. Jednak zaskoczyło mnie, gdy tuż przed występem okazało się, że wśród Trzech Króli nie ma czarnoskórego. Ktoś musiał pomalować twarz. To wzbudziło natychmiast opory wśród moich kolegów. Pomyślałem sobie trudno, to ja się umaluję na czarno. Ale chyba czarny to był Baltazar, jeśli się nie mylę?

Zenon Bernacki: Byłem w drodze do Szwecji w połowie listopada, gdy odebrałem telefon od Gabrysi Męczyńskiej (przewodnicząca Rady Gminy Mściwojów). Spytała, czy chciałbym zagrać w jasełkach. Zgodziłem się, bo wiedziałem, że znajdę czas, bowiem to okres, gdy nieco zwalniam w mojej działalności. A poza tym grałem już w jasełkach z zespołem *Polanki*, więc miałem nieco wprawy. Wiadomo było, że aktorzy we własnym zakresie organizują sobie przebrania. Pomyślałem więc, że skoro mam gotowe stroje na zamku Grodziec, to najłatwiej będzie dla mnie, jak wezmę rolę jednego z Trzech Króli. Marzyła mi się rola króla Kacpra. Już nawet przyzwyczaiłem się do tej myśli.

Po jakimś czasie zadzwoniła Gabrysia znowu i mówi, że role królów przeznaczone są dla starosty Józefa Sudoła, wójta z Paszowic oraz dla dyrektora Wydziału Obszarów Wiejskich z Urzędu Marszałkowskiego. Po prostu nie wypadało dać im niższych ról! – A ty, Zenek – mówi Gabrysia – prowadzisz własny biznes, więc najlepiej pasuje ci rola Żyda.

To był argument nie do odrzucenia. I tak zostałem Żydem. Po występie znajomi mówili mi, że ta rola pasowała do mnie, jak ulał.

Maria Leśna: Sądziliśmy, że jak to zwykle bywa na tego typu jarmarkach, my wyjdziemy na scenę, pooglądą nas kilkanaście osób, mało kto będzie słuchał, a cała reszta będzie chodzić po straganach. Jednak gdy wyszliśmy na scenę i zobaczyliśmy te tłumy... Matko Boska! Trema nas zjadła, gdy zobaczyliśmy, jak liczna jest widownia, jakie tłumy będą nas oglądać.

Zenon Bernacki: Co prawda, nie miałem w swoich zasobach odpowiedniego stroju dla mojej roli, ale ubrałem się w czarny smoking, czarny kapelusz i myślę, że trochę przypominałem tradycyjnego Żyda.

Ze swoich zamkowych zasobów wypożyczyłem strój królowi Herodowi i królowi Melchiorowi.

Józef Sudoł: Jeśli chodzi o stroje, to największy sukces odniósł mój strój, czyli Króla Melchiora. Po występie (tym drugim w Jaworze) podeszła do mnie pani z centrum kultury w Jaworze z błaganiem w głosie, abym wypożyczył jej mój strój, bo właśnie takiego ona szuka od dawna dla swojego syna po całym województwie. Jej syn też gra w jasełkach jako Król Baltazar. Za zgodą Zenona Bernackiego został jej ten strój pożyczony, a synek odniósł sukces jako jeden z Trzech Króli.

Maria Leśna: Stroje organizowaliśmy we własnym zakresie. Potem doszliśmy do wniosku, że jednak mogliśmy bardziej popracować nad kostiumami.

Józef Sudoł: Kolega, który grał Króla Kacpra (Sebastian Oszczęda), występował w stroju pożyczonym od księdza. Każdy radził sobie, jak umiał.

Zenon Bernacki: Pierwsza próba była w Paszowicach, potem dwa razy w Krotoszycach. Próba generalna dwie godziny przed występem już na scenie, aby przyzwyczaić się do grania z mikrofonami.

Na próbach nie mieliśmy mikrofonów. Najtrudniejsze w tym wszystkim było zapamiętać, po kim kto mówi.

Józef Sudoł: Prób było niewiele. Ja uczestniczyłem jedynie w trzech. To widać było po tym, jak nam szło wykonanie. Nie było to perfekcyjne przygotowanie, bo robiliśmy mnóstwo błędów. Niektórzy z aktorów potraktowali swój udział bardzo profesjonalnie i z ogromnym zaangażowaniem, co mnie zaskoczyło. Rozumiem, że ktoś z nas musiał porządnie zagrać.

Osobiście nie miałem problemu z opanowaniem roli. To naprawdę nie był duży tekst. Jednak mieliśmy wszyscy problem: kto po kim ma swoją kwestię.

Maria Leśna: Trudno nam się było należycie do tego przygotować, bo to okres przedświąteczny i były tylko trzy próby. Ja osobiście nie mogłam być na jednej z nich. Taka inscenizacja nie jest prosta. Najtrudniejsze było ustalenie kolejności, kto po kim mówi. Nie wiedzieliśmy, jak stanąć, jak się ustawić. Nie mieliśmy reżysera i tego całego sztabu ludzi, którzy zwykle pracują z aktorami. Mogliśmy liczyć jedynie na swoją intuicję, więc wychodziliśmy na występ tak trochę na żywioł.

Zenon Bernacki: Na próbach świetnie się bawiliśmy. Czasami nie można było dokończyć swojej kwestii, bo wszyscy się śmiali do rozpuku. Do tego dochodziły jeszcze dowcipne komentarze aktorów do i tak już śmiesznego tekstu. Wszystkich nas najbardziej śmieszyła postać Małego Aniołka, którą grał wójt gminy Mściwojów, wielki, prawie dwumetrowy mężczyzna o bardzo słusznej wadze.

Józef Sudoł: Na pierwszych próbach pomyłki i przekręcanie przez nas tekstu były zabawniejsze nawet od oryginału. Wywoływało to salwy śmiechu.

Maria Leśna: Próby zbliżyły nas do siebie, zżyliśmy się.

Starosta Józef Sudoł: Najbardziej mnie zaskoczyło to, że podczas tych prób i tworzenia jasełek stworzył się zespół zgranych ludzi. To magia wspólnej pracy. Nieodpłatnej pracy. Trzeba było poświęcić swój prywatny czas, pojechać na próbę do Paszowic czy Krotoszyc, a tego czasu przed świętami mieliśmy naprawdę mało. Wspólna praca bardzo łączy.

Maria Leśna: Naszym celem było pokazanie, że te poważne osoby siedzące za biurkami w swoich gabinetach, potrafią się zabawić i próbować zabawić innych. Niektórzy z nas okazali naprawdę duży talent aktorski. Pani, która grała Śmierć (Lucyna Ochrombel), była po prostu idealna!

Józef Sudoł: Na występie w Krotoszycach była moja mama, która ma już 89 lat. Zaprosiłem ją, bo chciałem jej pokazać i Krotoszyce, i imprezę. Mama siedziała w pierwszym rzędzie, aby wszystko dobrze widzieć. Jasełka bardzo jej się podobały mimo pewnych trudności z nagłośnieniem.

Maria Leśna: Przedtem jarmark odbywał się w Jaworze w muzeum. Ale tam od ilości wydychanej przez ludzi pary zaczęły się psuć freski. Krotoszyce mają dobre położenie, bo leżą centralnie, tak bliżej Legnicy, łatwy dojazd i obszerny porządny parking, co jest bardzo ważne, więc jarmark tutaj się przyjął. Obserwujemy, że z roku na rok jest coraz więcej odwiedzających.

Zenon Bernacki: Jarmark w Krotoszycach jest bardzo fajny, jednak jest tam za mało miejsca. Ja osobiście uważam, że Złotoryja ma lepsze warunki na taką imprezę. Mamy taki duży dom kultury! Ogromny hol, antresola na górze, dodatkowo sala klubowa. Byłoby tam znacznie więcej miejsca dla wystawców niż w Krotoszycach. A na zewnątrz mogłyby stać stragany z jedzeniem na gorąco typu kiełbaski czy grzane wino.

wypowiedzi aktorów misterium zanotowała Agnieszka Młyńczak

Misterium jasełkowe fot.arch. Starostwo Powiatowe

Misterium jasełkowe fot.arch. Starostwo Powiatowe

Cała trupa teatralna jasełek fot. Magdalena Smagacz

W jasełkach wystąpili
Starosta Powiatu Jaworskiego **Stanisław Laskowski** – narrator,
Wójt gminy Paszowice **Sebastian Oszczęda** – Król Kacper,
Starosta Powiatu Złotoryjskiego **Józef Sudoł** – Król Melchior,
dyrektor z Urzędu Marszałkowskiego **Paweł Czyszczoń** – Król Baltazar,
Prezes LGD **Piotr Pieniążek** – król Herod,
Małgorzata Świderska – Maryja,
Wiktor Urbańczyk – Józef,
członek zarządu LGD Partnerstwo Kaczawskie **Anna Rabska** – Pastuszek Maciek,
Wójt Gminy Krotoszyce **Beata Castaneda-Trujillo** – Pastuszek Kuba,
Prezes Stowarzyszenia Kaczawskiego **Ewelina Rozpędowska** – Archanioł Gabriel,
Wójt Gminy Złotoryja **Maria Leśna** – Archanioł Michał,
Agnieszka Wegneris – Archanioł Rafał,
Wójt Gminy Mściwojów **Mariusz Foryś** – Mały (!) Aniołek,
Przewodniczący Rady Powiatu **Zenon Bernacki** – Żyd Icek,
członek stowarzyszenia LGD Partnerstwa Kaczawskiego **Sławomir Kosz** – Diabeł Azazel,
członek stowarzyszenia LGD Partnerstwo Kaczawskie **Bogumiła Rudnicka** – Diabeł Lucyfer,
Gabriela Męczyńska – diabeł Rokita,
Małgorzata Dubrowska – diabeł Boruta,
Lucyna Ochrombel – Śmierć.
Oprawę muzyczną Jarmarku zapewnił **Waldemar Staszczyk**. Przygotowaniem organizacyjnym przedsięwzięcia zajęły się **Małgorzata Świderska** z zarządu LGD, **Gabriela Męczyńska**, **Agnieszka Wegneris** i **Małgorzata Dubrowska** z biura LGD oraz **Ilona Trzyna** z PZD w Jaworze przy wsparciu Wójta Gminy Krotoszyce **Beaty Castaneda-Trujillo** i prezesa **Piotra Pieniążka**.

Fotoprezes

Robert Pawłowski: Twój pierwszy aparat?

Leszek Leśniak: CMEHA (smjena), ale nie pamiętam czy jakiekolwiek zdjęcia z tego wyszły. Miałem wtedy może dziesięć lat, dopiero w liceum dostałem Zenita ET z fajnym światłomierzem. Był jeszcze Zenit 12XP - piękna maszyna, później odkupiłem od wujka z Francji za ciężko zarobione pieniądze w restauracji Canona AE1 z dodatkowym obiektywem70-210/3.5, wtedy dopiero byłem szczęśliwy. Do tej pory mam oba aparaty wystawione na półce. Teraz moja córka próbuje swoich sił z fotografią analogową i ja staram się jej pomagać, wracają wspomnienia.

Jednak pozostało coś we mnie z dziecka, chętnie kupowałbym coraz to nowsze i lepsze aparaty, mimo że mam dobry aparat i kilka obiektywów.

A pierwsze zdjęcie?

Dosłownie pierwszego nie pamiętam, ale pewnie były to zdjęcia rodzinne. Bardziej świadome

Fot. Robert Pawłowski

zdjęcia to te robione z dachu domu. Wchodziłem na dach (ma łagodny spadek) i robiłem zdjęcia o różnych porach dnia i roku, spędzałem tam sporo czasu. Do tej pory mam jeszcze kilka z tych zdjęć.

Przeglądasz czasem swoje stare zdjęcia?

Jeśli chodzi o stare analogowe - to rzadko, niestety nie są najlepszej jakości, chociaż są zadbane, ale poza wartością sentymentalną i historyczną technicznie są słabe. Natomiast cyfrowe częściej, odpukać nie miałem jeszcze żadnej wpadki z wirusem albo z dyskiem, dlatego mam prawie wszystkie, a łatwość przeglądania w komputerze jest niedościgniona. Można poprawić stare cyfrowe zdjęcia, coś przyciąć, zmienić światło, kolory, one ciągle żyją.

Co wtedy myślisz?

Wracają wspomnienia: kiedy? gdzie? z kim? A po chwili refleksji analizuję i chciałbym zrobić te zdjęcia jeszcze raz z tą wiedzą, którą teraz mam. Może byłyby lepsze, ciekawszy kadr, może o innej porze dnia, przy innym świetle. Chciałbym mieć tyle czasu, co kiedyś, aby więcej uwagi zwracać na szczegóły, robić zdjęcia powoli. Analogiem nie można było robić zdjęć szybko i dużo, klisza kosztowała i wywołanie też nie było za darmo.

Fotografia cyfrowa dla jednych jest błogosławieństwem, a dla innych przekleństwem. Zdjęć chyba jest za dużo. Jak w tym się nie pogubić?

Jednak wolę cyfrową fotografię, przede wszystkim nie trzeba się ograniczać z ilością zdjęć, no i mniejsze są koszty, nie licząc samego sprzętu, który jest rzeczywiście kosztowny. Możliwości obróbki zdjęć są ogromne, nigdy nie wywoływałem zdjęć analogowych, to do końca nie wiem, ale cyfra górą. Cały czas się uczę, niestety z oporami, obrabiać zdjęcia tak, aby pokazywały wszystko to, co autor miał na myśli, naciskając spust migawki.

Rzeczywiście zdjęć jest ogromna ilość i żal kasować nawet te średniej jakości. Dyski są coraz pojemniejsze i można na małej przestrzeni przechowywać ogromne ilości plików. Sentyment do zdjęć papierowych to zupełnie inna sprawa, to inna epoka i inny świat.

Co cię skłoniło, żeby zbratać się z fotograficznymi maniakami?

Robienie zdjęć dla siebie i rodziny to niestety słabe warunki rozwoju, a na galeriach fotograficznych czasem przykro czytać opinię frustratów. Postanowiłem, chociaż z pewną obawą, zmierzyć się z podobnymi do siebie, albo i większymi maniakami. I zaczęło się: w czwartki po południu jakaś siła gna mnie do Złotoryi na spotkanie Klubu, żeby zobaczyć, co ciekawego zrobili klubowicze i jak to się ma do moich wypocin. Plenery to świetna rozrywka i lekcja fotografowania, oderwanie od rzeczywistości, poza tym świetny odpoczynek mimo często forsownego marszu, żeby dotrzeć na miejsce, gdzie widoki zapierają dech.

ZKF dał mi motywację do nauki (przeczytałem wiele książek fachowych), możliwość podglądania, jak to robią inni, a są w klubie artyści, od których można się wiele nauczyć.

Pamiętasz swój pierwszy plener?

Tak, w Proboszczowie o czwartej rano, jak zawiesiłem w swojej galerii jedno z tamtych zdjęć, to najwięcej komentarzy było nie o zdjęciu a o godzinie jego wykonania, bo można taką informację znaleźć w exifie (informacje o zdjęciu). Pamiętam, że miałem kiepski statyw i o mało ta przygoda nie zakończyła się zniszczeniem aparatu, ledwo go uratowałem przed wypadkiem. Byłem jednocześnie zachwycony, że można w przyjemnej atmosferze, z ludźmi z pasją, łazić gdzieś po polach i łapać pierwsze promienie słońca.

Co lubisz fotografować najbardziej?

Ptaki, chociaż nie mam wielkich osiągnięć, zaledwie kilka zdjęć jest na przyzwoitym poziomie. Ptaki to trudny temat, szybko się płoszą, gdy chcesz blisko podejść. Żeby fotografować z daleka, potrzebny jest drogi sprzęt, powiedzmy obiektyw o ogniskowej 300 i więcej to koszt od 15 tyś złotych a 300 to minimum. Dlatego ciągle nie zrobiłem jeszcze zdjęcia marzeń, ale staram się, w zimie dokarmiam ptaki i często zaglądam do Atlasu Ptaków, kto zagościł u mnie. Poznałem dzięki temu kilkanaście ich gatunków. Może czas na jakiś wyjazd na mokradła albo inne siedliska ptaków? Mogłoby być ciekawie.

Na jednym ze zdjęć dołączonych widać kosy, które posilały się

jabłkami wyłożonymi przeze mnie na podwórku. Siedziałem sobie z aparatem i czekałem na rozwój wypadków i nagle dwie samice zaczęły walczyć. Trwało to może pięć sekund, udało mi się zrobić zaledwie dwa zdjęcia i cudownym zbiegiem okoliczności byłem tak ustawiony, że w drugim planie widać samca kosa, który się temu przyglądał. Pewnie samice walczyły o jabłka a może o względy samca, kto wie...

Masz jakieś fotograficzne marzenie - obraz, miejsce, które chciałbyś utrwalić?

Tak, Wielki Kanion rzeki Kolorado z lotu ptaka o zachodzie słońca cha,cha,cha. Ale czasem marzenia się spełniają, kto wie, co przyniesie jutro?

W wielu miejscach już byłem i wiem, że piękne miejsca są trudne do fotografowania, bo zawodowcy już je sfotografowali w każdy możliwy sposób i jest niewielkie pole do popisu. Poza tym, jak jesteś z rodziną na wakacjach, to nie możesz poświęcić kilku dni w jednym miejscu, polując

na idealne warunki, światło itd.

Jak postrzegasz swoją fotograficzną drogę? Widzisz postępy? Perspektywy rozwoju?

Na początku było kiepsko, duże koszty i małe umiejętności. Ale od momentu, kiedy dołączyłem do ZKF -u spore postępy zrobiłem, zresztą usłyszałem to również od innych. To jest tak jak z językiem obcym, na początku entuzjazm: uczysz się szybko, widzisz postępy, ale im głębiej w las, tym więcej drzew i o postęp trudniej. Staram się jednak, mam wrażenie, że czas jakby przyspieszył i ciągle go brakuje, dlatego rozwój spowolniał. Ze względu na moją pracę (jestem rolnikiem), są sezony, kiedy nie mam czasu niestety na swoją pasję. Dlatego falowanie w fotografowaniu nie daje mi wielkich widoków na przyszłość, zawodowym fotografem raczej nie zostanę, ale dla przyjemności zawsze będę fotografował.

Nie sposób nie spytać cię o klub fotograficzny, któremu prezesujesz już czwarty rok. Czy jest sens takiego sformalizowanego, zespołowego uprawiania fotografii?

To już czwarty rok? Sformalizowanie ma swoje dobre i złe strony. Z jednej kanalizuje odpowiedzialność za Klub, z innej - nadaje sztywności całemu przedsięwzięciu, jakim jest ZKF, bo jest regulamin i zarząd itd. Jednak to nie korporacja i jesteśmy (klubowicze) na stopie koleżeńskiej, lubimy ze sobą przebywać, wspólnie jeździmy na plenery. Że formalizacja trochę pomogła, pokazał 2011 rok, 800 lecie Złotoryi i duża ilość imprez, które uwiecznialiśmy na fotografiach. Chociaż, czy bez sformalizowania robilibyśmy to gorzej? Nie wiem.

Czy klub nie stał się nazbyt hermetyczny?

Jest tak samo hermetyczny, jak pasja fotografowania. Żeby było jasne: jesteśmy otwarci na nowych zapaleńców, zapraszamy do nas! Jednak rytm cotygodniowych spotkań w czwartki o 17.00, wspólne ocenianie i omawianie zdjęć jakoś nas zamyka, bo aby się do nas przyłączyć, trzeba zaakceptować nasz sposób funkcjonowania już utarty przez cztery lata. Pokazał przykład kilku nowych osób, że można przyjść na spotkanie i bez kłopotów wtopić się w ZKF.

Co będzie się dziać w ZKFie w 2013 roku?

Jakoś czułem, że padnie pytanie o program. Z całą pewnością będziemy fotografować, organizować plenery (może jakiś dłuższy, gdzieś dalej). Czeka nas tradycyjna seria imprez do sfotografowania. Chciałbym w końcu pojechać na jakąś profesjonalną wystawę fotograficzną razem z Klubem, może udałoby się nawiązać jakiś kontakt z innymi klubami fotograficznymi, chociaż inni są chyba bardziej od nas hermetyczni.

Może zorganizujemy konkurs fotograficzny, tylko problem jest ze znalezieniem jakiegoś oryginalnego tematu. No i zaczniemy kompletować materiały do książki o Klubie.

Zapraszam do Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego!

Robert Pawłowski

Znaszli to miejsce?

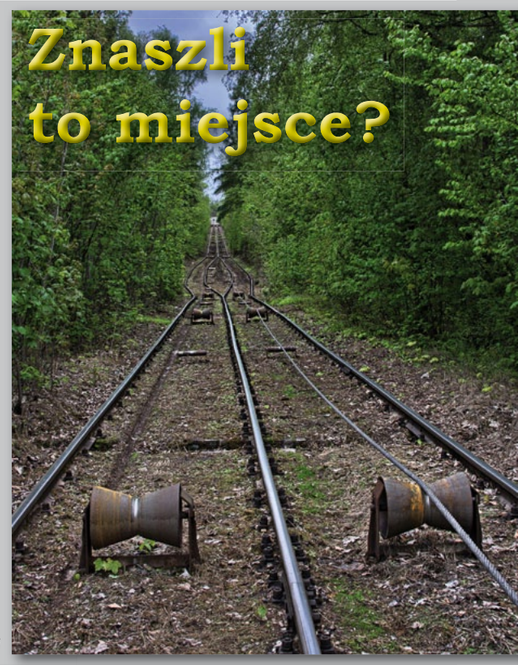

Już drugi raz z kolei prawidłową odpowiedź na zagadkę udzieliła Katarzyna Pronkiewicz. Gratuluję, ale jak tak dalej pójdzie, będę miał problem, jaka nagrodę wymyślić, aby się nie powtarzać. Dlatego tym razem proponuję coś z zupełnie innego regionu ziemi złotoryjskiej. Ale zanim przystąpię do omówienia zagadki, należałoby podać prawidłową odpowiedź na poprzednią.

Oczywiście był to trzyprzęsłowy most kamienny sklepiony nad rzeką Skorą w Pielgrzymce. Obiekt ma 64,2 m długości. Duże wrażenie robi zarówno jego wielkość jak i forma, nawiązująca do budowli historycznych, zwłaszcza balkony imitujące machikuły. Most w latach 90 XIX w. wybudowała firma mistrza murarskiego Urbana ze Złotoryi.

Na pierwszy rzut oka obrazek stanowiący dzisiejszą zagadkę także nawiązuje do kolei, ale czy na pewno? Cóż to takiego jest i gdzie się znajduje? Do czego i w jaki sposób jest wykorzystywane? Kto zna, kto był, kto wie? Na znających odpowiedź czeka nagroda ufundowana przez niżej podpisanego.

Robert Pawłowski

Szanowny Panie Radny!

Gdy przemierzam nowym chodnikiem ul. Wojska Polskiego wzbiera we mnie zazdrość. Jako mieszkaniec ul. Legnickiej zazdroszczę mieszkańcom tej części miasta równiuteńkiego, nowiuteńkiego spacerociągu. Po drugiej stronie miasta, wzdłuż ul. Legnickiej ciągnie się alejka lipowa, a dalej topolowa, która służy mieszkańcom tej części miasta od ponad 35 lat. Przez ten czas nie przypominam sobie, żeby była remontowana. Prawie dwa lata temu na łamach marcowego Echa (nr 3(64)/2011) zadałem „Proste pytanie" w sprawie złotoryjskich chodników prowadzących na peryferie złotego

miasta. Pytanie skierowałem do naszych rajców miejskich, ale tak to już jest, że gdy pyta się ogół, to nikt z tego ogółu nie bierze sprawy do siebie. Tym razem więc pytanie kieruję bezpośrednio do radnego, który został wybrany z okręgu, w którym rzeczony obiekt się znajduje. Na ofiarę wybrałem najmłodszego stażem radnego, pana Cypriana Posadowskiego. Jako mieszkaniec ul. Legnickiej, pamiętający jeszcze, że obok mojego domu stała tablica z napisem Kopacz, proszę go o skierowanie w moim imieniu pytania do władz miejskich:

1. Czy istnieją plany dotyczące remontu alejki przy ul. Legnickiej?

2. Czy w planach jest przedłużenie tej alejki do granic miasta w kierunku Kopacza, tak aby pracujący w Siku, w wylęgarni, w firmie Skaleń, w straży pożarnej, a także inni, którzy muszą pieszo udawać się w kierunku do i z Kopacza, nie musieli brnąć w błocie, w trawie, lub iść niebezpiecznym poboczem?

3. Rozumiem, że miasto może nie mieć w najbliższym czasie funduszy na ten cel, ale czy przynajmniej można byłoby w kilku newralgicznych miejscach naprawić nieco chodnik, tak aby osoby starsze i niepełnosprawne mogły tamtędy swobodnie przejść. Są to kilkumetrowe odcinki, gdzie są duże wyrwy lub wybrzuszenia, w których po deszczu zbiera się woda i, gdzie osoba poruszająca się na wózku lub o kulach, raczej nie jest w stanie pokonać tej przeszkody. Takie newralgiczne punkty znajdują się na wysokości POARu (ul. Legnicka 41), Cerbudu (Legnicka 33), na przecięciu z pl. Sprzymierzeńców w stronę oczyszczalni ścieków a najbardziej zdegradowany odcinek to miejsce, w którym alejka przecina się z nieutwardzonym dojazdem do pl. Sprzymierzeńców.

4. Niepokoi mnie również brak przejścia dla pieszych przez ul. Legnicką na wysokości ul. Gwarków oraz brak przejścia dla pieszych do przystanku autobusowego przy ul. Legnickiej 50. Bardzo często dochodzi tu do różnych kolizji drogowych, co świadczy, że jest to bardzo niebezpieczny odcinek. Prosta droga skłania wielu kierowców do szybkiej jazdy. W dodatku w obiektach POARu od niedawna funkcjonuje sklep EKO, do którego często pieszo chadzają mieszkańcy pobliskiego osiedla.

Zdaję sobie sprawę, że ul. Legnicka jest drogą wojewódzką, i wiele spraw, dotyczących pasa przydrogowego, czy poprawienia bezpieczeństwa w jej obrębie, nie zależy bezpośrednio od miasta, wierzę jednak w moc sprawczą władz miejskich i mam nadzieję, że zdecydowana interwencja w tej sprawie przyniesie odpowiednie rezultaty.

Jednocześnie zachęcam naszych Czytelników do zadawania na naszych łamach pytań, czy też kierowania sugestii do konkretnych rajców miejskich.

Robert Pawłowski

Partnerska rola władz lokalnych

Wiele się musi zmienić, żeby wszystko mogło pozostać po staremu

Im prędzej zrozumieją to lokalni samorządowcy, tym lepiej dla gminy i dla nich samych. Niektórzy już to dostrzegli, inni albo się boją, albo bezpieczniej powiedzieć, potrzebują jeszcze trochę czasu. Jedno jest pewne, sektor organizacji pozarządowych jest coraz bardziej świadomy swoich celów i wie, że w demokracji trzeba naciskać.

W listopadzie Fundacja Razem zorganizowała w Złotoryi konferencję pn. „Partnerska rola władz lokalnych, NGO i przedsiębiorców". Wystąpienia prelegentów dotyczyły głównie odpowiedzi na pytanie: czy współpraca pomiędzy sektorami władzy, organizacji społecznych i biznesu jest potrzebna i jak do tej współpracy doprowadzić.

Rolą samorządu jest nie tylko dostarczanie usług publicznych z zakresu: edukacji, zdrowia, bezpieczeństwa, kultury, ale również tworzenie ram prawnych do tego, aby następował rozwój lokalny. Wszystkich obowiązuje ta sama ustawa, ale jak się przyjrzymy - mimo podobnych zasobów samorząd samorządowi nierówny - mówił Waldemar Weihs.

W czasach socjalizmu urzędnik przyniesiony w teczce wiedział wszystko i sam podejmował decyzje, konsultując się jedynie z urzędnikiem wyższym w hierarchii. W okresie transformacji pojawił się w strukturach władzy lokalnej „menadżer", wybierany przez mieszkańców w wyborach bezpośrednich. Kampanie wyborcze mają swoje prawa i wiadomo, że nie zawsze wizja przedstawiona w wyborach jest później realizowana. Gdy menadżer wygrywający wybory ma dobre pomysły na rozwój gminy oraz zapewnioną kasę, zyskuje akceptację. Model ten przestaje się sprawdzać, gdy zaczyna brakować pieniędzy. Podobnie jest u nas. Coraz częściej na sesjach Rady Miasta słychać narzekania Burmistrza, jego urzędników i niektórych radnych, że zadań przybywa, a nie idą za tym środki. Dużo lepszy, szczególnie w dobie kryzysu, jest model partycypacyjny, który zakłada, że nie da się rozwijać gminy bez angażowania obywateli. I to zarówno na etapie planowania jak i późniejszych działań. Dlaczego? Bo brakuje środków w budżecie. Trzeba je wydawać rozsądnie i efektywnie, konsultując wcześniej priorytety. Trzeba też zaangażować różne zasoby lokalne, aby wypełnić zobowiązania wobec społeczności.

Aby obywatelskie uczestnictwo było możliwe, niezbędna jest właściwa komunikacja społeczna, czyli przepływ informacji pomiędzy różnymi podmiotami. Żeby cokolwiek robić, obywatel musi być dobrze poinformowany. Prelegenci podawali przykłady samorządów, które wiele osiągnęły dzięki stosowaniu zasad partycypacji w rządzeniu. Praktyki takie stosują np. Gdynia czy Nowa Sól.

Ideą organizatorów było doprowadzenie do spotkania lokalnych przedstawicieli trzech sektorów: administracji publicznej, przedsiębiorców i organizacji społecznych. Nie pojawili się, niestety, przedsiębiorcy a przedstawiciele samorządu Złotoryi opuścili spotkanie po wystąpieniu Piotra Domańskiego, który mówił o korzyściach współpracy administracji z biznesem. Nie mieli więc okazji odpowiedzieć na pytanie Pana Weihsa - jak w Złotoryi realizowana jest zasada partycypacyjności? Ci, którzy zostali, mówili o najważniejszej barierze, jaką jest u nas brak komunikacji i lekceważenie partnerów społecznych przez zarządzających miastem. Jak sobie z tym mają poradzić mieszkańcy? Zawiązać koalicję, nawet nieformalną, która określi chociaż jeden wspólny cel, prowadzący do poprawy sytuacji - radził Waldemar Weihs.

Mając tego świadomość jako animatorzy Stowarzyszenia Edukacja Przyszłości już wcześniej podejmowaliśmy szereg działań mających zwiększyć dostęp do informacji. Pozostawiając czytelnikowi pole do własnej oceny, podajemy tylko kilka faktów: 1) W Złotoryi nie ma możliwości sprawdzenia, jak głosowali radni. W protokołach z sesji wyniki głosowań nie są podawane imiennie. 2) Jeszcze do niedawna na stronach internetowych urzędu nie było informacji o terminach prac komisji. Nie zamieszczano także porządku obrad 3) W porządku obrad sesji nie wymieniano nazw projektów uchwał. W konsekwencji nie wiadomo było, czego podejmowane uchwały dotyczą. 4) Projekty uchwał są dostarczane tylko radnym na krótko przed sesjami, a powinny być publikowane w BIP tak, aby każdy obywatel mógł się z nimi zapoznać. We wszystkich wymienionych sprawach składaliśmy stosowne pisma. Nie mogąc uzyskać informacji od radnych, złożyliśmy dwa wnioski w trybie dostępu do informacji publicznej. Mimo, że Burmistrz miał obowiązek przekazania takiej informacji, wezwano nas do wykazania szczególnie istotnego interesu publicznego. Wystąpiliśmy także z wnioskiem o wprowadzenie do nowo opracowanego Statutu Miasta Złotoryi kilku zapisów dotyczących między innymi inicjatywy uchwałodawczej. Tak, aby jeden radny lub 100 mieszkańców gminy, miało taką możliwość. Informacje oraz dokumenty w tej i wielu innych sprawach czytelnik może odnaleźć na nowo powstałym portalu złotoryjanie.pl.

Kamila Nankiewicz, Paweł Macuga

Konserwator odpowiada

W poprzednim numerze *Echa Złotoryi* opisałem stan letniego pawilonu restauracyjnego przy dworcu PKP w Jerzmanicach Zdroju. Informowałem również, że redakcja naszego miesięcznika wystosowała do pana konserwatora zabytków w Legnicy, Zdzisława Kurzei, pismo, w którym prosiliśmy o niezwłoczne zajęcie się sprawą zabytkowego obiektu.

Już w nowym roku otrzymaliśmy odpowiedź od pana konserwatora, w której informuje nas, że 25 czerwca 2012 roku został wysłany wniosek do Dolnośląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków we Wrocławiu z prośbą o wpis do rejestru zabytków dworca kolejowego PKP w Jerzmanicach Zdroju.

14 września 2012 r. Dolnośląski Wojewódzki Konserwator Zabytków we Wrocławiu wszczął z urzędu postępowanie w sprawie wpisu do rejestru zabytków tego obiektu, natomiast pismem z dnia 6 grudnia 2012 zawiadomiono legnicki urząd o zakończeniu postępowania dowodowegow sprawie złego stanu technicznego pawilonu restauracyjnego dworca kolejowego w Jerzmanicach Zdroju. Postępowanie administracyjne prowadził Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego.

31 grudnia 2012 r. Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków we Wrocławiu Delegatura w Legnicy wystosowała pismo do Dolnośląskiego Wojewódzkiego Inspektora Nadzoru Budowlanego z prośbą o wszczęcie postępowania w sprawie złego stanu zachowania zabytku.

Czy interwencja tych dwóch urzędów uchroni ten cenny zabytek przed jego dalszą dewastacją? Na pewno nie pozostawimy sprawy własnemu biegowi i postaramy się trzymać rękę na pulsie. O dalszym toku sprawy będziemy informować naszych Czytelników na bieżąco.

Robert Pawłowski

Kronika

12.12. W Skansenie Górniczo-Hutniczym w Leszczynie odbyła się tradycyjna Karczma Piwna – impreza integrująca środowisko organizacji pozarządowych.

16.12. W Pałacu Krotoszyce odbył się VI Kaczawski Jarmark Bożonarodzeniowy.

18.12. Grupa średniaków z Przedszkola Miejskiego nr 1 w Złotoryi zaprosiła swoich rodziców na przedświąteczne spotkanie przy kolędzie.

18.12. Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi obejrzeli spektakl „Opowieść Wigilijna" Teatru Dramatycznego w Płocku bez wychodzenia ze szkolnej placówki. Było to możliwe dzięki Telewizji Polskiej, która bierze udział w nowatorskim projekcie pn. „Internetowy Teatr TVP dla szkół".

19.12. Zespół orlików Górnika Złotoryja rozpoczął rywalizację w halowej lidze piłki nożnej organizowanej przez OZPN Legnica.

19.12. Na kortach Złotoryjskiego Towarzystwa Tenisowego zakończyła się 37. edycja ligi tenisowej Złotoryi Vitbis. Liga, nad którą patronat obejmuje firma Vitbis, została założona w 1975 roku przez Adama Tatko, który prowadzi ją nieprzerwanie do dziś.

19.12. Ponad 30 medali przywieźli do domu nasi judocy z Mikołajkowego Turnieju Ju Jitsu o Puchar Prezydenta Zielonej Góry.

19.12. Nasz region od lat może pochwalić się wokalistami, którzy zaistnieli na scenach regionalnych i ogólnopolskich. Wśród nich jest świerzawianka Natalia Norko (liderka zespołu ZEBRA).

19.12. Szkoła Podstawowa w Świerzawie przystąpiła do ogólnopolskiej akcji pod nazwą „Wielka zbiórka starych płyt CD i DVD".

19.12. W Nowym Kościele odbyły się warsztaty bożonarodzeniowe dla dzieci i młodzieży.

19.12. W hali sportowej Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi odbył się VI Turniej Piłki Nożnej Halowej Szkół Ponadgimnazjalnych o Puchar Starosty Powiatu Złotoryjskiego – „GWIAZDKA 2012".

19.12. Uroczyście otwarto Zakład Unieszkodliwiania Odpadów wg projektu spółki Sanikom z Lubawki. Z instalacji skorzysta 17 dolnośląskich gmin z powiatów: jaworskiego, kamiennogórskiego, wałbrzyskiego i złotoryjskiego, w tym Gmina Świerzawa.

19.12. Na 15 miejscu wśród 240 gmin województw dolnośląskiego i opolskiego uplasowała się Gmina Świerzawa w plebiscycie miesięcznika „Wrocławianin – magazyn Polski zachodniej i południowej" na Śląską SuperGminę.

19.12. W restauracji „Przy Miłej" przy wigilijnym stole spotkali się złotoryjscy seniorzy.

20.12. Wigilia w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Złotoryi - na spotkanie wigilijne zaproszono nie tylko uczniów, ale i ich rodziców oraz przyjaciół placówki.

20.12. W sali wykładowej Powiatowego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli i Poradnictwa Pedagogiczno-Psychologicznego w Złotoryi odbył się finał II Powiatowego Konkursu na Prezentację Książki dla uczniów klas IV-VI szkół podstawowych.

24.12. W Wigilię wielu złotoryjan przybyło na rynek, aby przełamać się opłatkiem i wspólnie kolędować.

21.12. W Liceum Ogólnokształcącym w Złotoryi odbyły się jasełka. Przedstawienie przygotowała pani Jolanta Zarębska wraz uczniami.

21.12. Burmistrz Miasta i Gminy Świerzawa Józef Kołcz otrzymał z rąk harcerzy Betlejemskie Światełko Pokoju - symbol ciepła, miłości, pokoju i nadziei.

28-29.12. Po raz dziesiąty odbył się turniej pod nazwą „Siatkarska Złota Gwiazdka". Organizatorem imprezy był Kaczawski Klub Siatkarski Ren-But Złotoryja przy wsparciu Starostwa Powiatowego w Złotoryi oraz Urzędu Marszałkowskiego we Wrocławiu.

29.12. W Lubiechowej odbyło się oficjalne otwarcie pracowni ORANGE.

30.12. Noworoczne kolędowanie w wykonaniu Chóru Bacalarus w kościele NMP w Złotoryi. Goście mogli wysłuchać pięknych polskich i ukraińskich pieśni bożonarodzeniowych.

03.01. W hali „Tęcza" odbyły się warsztaty taneczne, które poprowadziła pracująca na co dzień w Stanach Zjednoczonych tancerka i choreografka Valerie Volmer Vega.

03.01. Drużyna młodzików ZTT Złotoryja wygrała w złotoryjskiej hali „Tęcza" finał konferencji południowej halowych drużynowych mistrzostw Polski młodzików.

03.01. Złotoryjscy radni ustalili nowe zasady wyborów do rady miejskiej. Wybierać będziemy tylko po jednym radnym, a głosowanie zostanie przeprowadzone w nowych obwodach.

05.01. Niezwykły pokaz dynamicznej akrobatyki, powietrznego baletu, pantomimy i tańca w wykonaniu Teatru Ocelot ze Złotoryi - był atrakcją telewizyjnej Gali Mistrzów Sportu 2013.

05.01. W kościele św. Józefa w Świerzawie odbył się koncert kolęd i pastorałek. Wystąpili miejscowi wykonawcy oraz Hania Markiewicz ze Złotoryi - uczestniczka programu TVP Bitwa na Głosy.

Z Jugosławii do Iwin

Moja babcia Maria Leśniak pochodzi z terenów dawnej Jugosławii, a dzisiejszej Bośni i Hercegowiny. Mieszkała w wiosce Nowy Martyniec wraz z rodzicami, starszą siostrą Agnieszką oraz młodszym rodzeństwem. Gdy opuszczała rodzinne tereny miała sześć lat. Nie wiąże się z tym żadna pełna głębokich wątków historia. Po II wojnie światowej tamtejsi mieszkańcy otrzymali nakaz opuszczenia swoich dobytków i skierowani zostali na ziemie, których nie znali, ale należące do Polski. W głębi duszy, pomijając strach przed tym, co ich czeka, czuli się bezpiecznie. Cieszyli się, że to już koniec wojny i że mogą znowu zamieszkać na ojczystej ziemi.

Jechali pociągiem ekspresowym. Ich podróż trwała około dwóch tygodni, to dosyć szybko, porównując czas jazdy pozostałych przesiedleńców. Podróż minęła im dosyć przyjemnie. Cały dobytek, który pozwolono im zabrać (a więc krowy, konie, kury, meble oraz najcenniejsze dla nich rzeczy) jechał w osobnym wagonie. Oni sami podróżowali w jednym z wagonów, w których jechali ludzie.

Za miejsce osiedlenia wybrano powiat bolesławiecki. To właśnie tu przybyło ponad 90% wszystkich reemigrantów z Jugosławii. Mieszkańców wioski Nowy Martyniec osiedlono niedaleko Bolesławca w Gościszowie. Pradziadkowie dostali gospodarstwo rolne, z którego się utrzymywali. Babcia uczęszczała do kilku klas szkoły podstawowej, a gdy dorosła jeden z sąsiadów przedstawił ją mojemu dziadkowi Julianowi.

Dziadek Julian na tereny Dolnego Śląska przyjechał z centralnej Polski w poszukiwaniu „lepszego życia". Mieszkał w Suchej Woli koło Staszowa w dawnym województwie kieleckim, a obecnie świętokrzyskim. Do Iwin przyjechał w 1945r. Podróż pociągiem trwała sześć tygodni, czyli trzy razy dłużej niż babci, która jechała z Jugosławii. Warunki też były zupełnie inne. Rodzina dziadka jechała wagonem ze zwierzętami oraz zabranym dobytkiem. Możemy sobie wyobrazić 6-tygodniową podróż w kurzu i ścisku.

Ślub Marii i Juliana odbył się w czerwcu 1958r. Babcia zamieszkała wraz z dziadkiem i jego rodzicami w Iwinach, gdzie razem zajmowali się gospodarstwem rolnym. Jednak szczęście nie trwało długo, ponieważ 10 lat później, a dokładniej 3 grudnia 1968r. o godzinie 3.00 w nocy doszło do przerwania wału piętrzącego wodę i osady zbiornika Iwiny. Wyrwą o długości 68 m u podstawy i 134 m w koronie wydostało się 4,6 mln m^3 płynnych osadów. Zalały one dolinę rzeki Bobrzycy (prawy dopływ Bobru) na długości 19 km pasem o szerokości od 50-220 m. Szlamem pokryta została powierzchnia wsi Iwiny, Raciborowice Dolne, Lubków, Tomaszów Bolesławiecki, Kraśnik i Dąbrowa. Zginęło wówczas 18 osób a 570 odniosło rany. Odnotowano także duże straty zwierząt gospodarskich. Na zalanym obszarze znalazło się 121 domów mieszkalnych, 407 budynków gospodarczych, drogi i tory kolejowe. Ucierpiało również gospodarstwo dziadków. Zalany inwentarz, budynki gospodarcze i dom. Państwo pokryło część strat, jednak zdecydowali się na zakup gospodarstwa w Nowej Wsi Złotoryjskiej, gdzie zamieszkali w 1969r. Można powiedzieć, że uratowali się wtedy w Iwinach szczęśliwie. Babcia wspominała, że obudziła się w nocy, słysząc głos Boga, aby wstawała. Zbudziła dziadka, wzięła moją jeszcze małą mamę i tym sposobem nic im się nie stało.

Nie zachowały się żadne zdjęcia z tamtego okresu, z wyjątkiem ślubnej fotografii.

Pewnie dlatego, że babcia nie lubiła robić sobie zdjęć, a także wiele z nich ucierpiało z powodu katastrofy. To, co wydarzyło się w ubiegłym wieku, musimy dzisiaj sobie wyobrazić.

Magdalena Kielar

Złotoryjskie echa

Czytając książki, oglądając filmy, słuchając audycji radiowych spotykamy się ze wzmiankami o ziemi złotoryjskiej – o miejscowościach, ludziach, obiektach geograficznych czy historycznych. Im szerszy zasięg takiej informacji, tym większa duma wzbiera, przynajmniej we mnie. Czasami jest pojedyncze zdanie w książce, czasem większy fragment. Warto chyba sięgnąć do źródeł i szerszemu kręgowi złotoryjan (a dla mnie złotoryjanie to nie tylko mieszkańcy Złotoryi) systematycznie takie urywki prezentować, oczywiście z podaniem źródła, a nóż ktoś zechce sięgnąć i dowiedzieć się więcej.

Największym problemem było nazwanie tego kącika. Na kolegium redakcyjnym padła

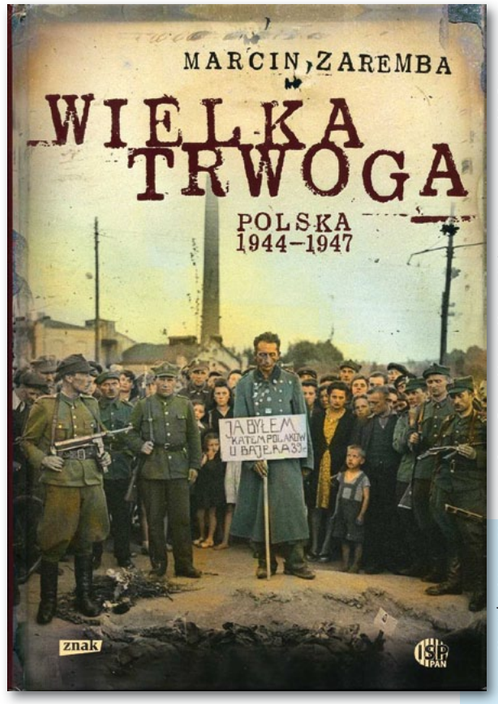

propozycja: „aureimontiana", ale doceniając wkład intelektualny zespołu uznałem, że nazwa jest zbyt skomplikowana. Zostańmy więc przy Echach złotoryjskich, póki nie przydarzy się coś lepszego.

Od pewnego czasu maltretuję książkę „Wielka trwoga" Marcina Zaręby (Wydawnictwo Znak, Kraków 2012). Księga jest gruba i nie jest powieścią, choć miejscami czyta się, jak najlepszą beletrystykę. W skrócie traktuje o Polsce i Polakach lat 1944-1947, o ich lękach i nadziejach, o mniej lub bardziej uzasadnionych trwogach. Bada ich przyczyny, omawia skutki. Stara się wyjaśnić na tej podstawie coś, co można by nazwać narodowym charakterem Polaków, który wykrystalizował się wskutek przejść związanych trudną historią wojny i powojnia. Polecam wszystkim, którzy interesują się historią Polski, a zwłaszcza czymś, co można by nazwać psychologią i socjologią historyczną.

Wzmianki o naszej ziemi znalazłem w dwóch miejscach i są to informacje nader interesujące.

Najprostszą formą uniknięcia zagrożenia była ucieczka. Na terenach zachodnich i północnych nastąpiło spowolnienie akcji przesiedleńczej. Wielu przybyłych, zwykle po kilkakrotnym ograbieniu, decydowało się na powrót do centralnej Polski. W Złotoryi na Dolnym Śląsku *„osadnicy (...) porzucają pracę, tłumacząc się tym, że nie chcą narażać życia i mienia, które jest zagrożone przez żołnierzy sowieckich" (Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie: Komenda Główna Milicji Obywatelskiej 35/920, k.2. Wyjątek z raportu sytuacyjnego Komendy Powiatowej MO w Złotoryi, b.d.)* (strona 187.)

Słuchając relacji ludzi, którzy przybyli do Złotoryi zaraz po zakończeniu wojny, widzimy, jak często przewija się w nich wątek trudnych relacji z wojskiem radzieckim, które grabiło, paliło i czyniło rozboje. We wspomnieniach pana Leszka Plebankiewicza (Echo Złotoryi 2/2007 str. 6-7.) odnajdujemy informacje i o napadach na podróżujących autostradą z Wrocławia do Złotoryi, i o podpalonym magazynie oraz o strzelaninie pomiędzy polskimi milicjantami i żołnierzami radzieckimi, próbującymi okraść młyn.

Jest też wzmianka, że Milicja Obywatelska nie reagowała na skargi obywateli. Jednak, jak wynika z cytowanego powyżej fragmentu, może i nie reagowała, ale notatki służbowe władzom zwierzchnim sporządzała.

Przez wiele lat nasi dziadkowie i ojcowie żyli w poczuciu tymczasowości. Niektórzy przez długi czas nie rozpakowywali skrzyń, czekając albo na powrót do swoich domów na Kresach, albo, że zostaną po prostu wypędzeni przez powracających Niemców. Natomiast szerzyły się też plotki, że ziemie Pogórza Sudeckiego przypadną Czechom.

Strach przed kolejną zmianą granic towarzyszył również mieszkańcom terenów graniczących z Czechosłowacją. Pierwszy jego wybuch nastąpił w czerwcu1945 r. w związku ze sporem granicznym o przyszłość terytoriów poniemieckich – m.in. Kotliny Kłodzkiej oraz rejonu Głubczyc i Raciborza – które w myśl porozumień poczdamskich przypadły Polsce.(…) Niepokój utrzymywał się do lata 1946 r. W położonej między Złotoryją a Jelenią Górą Bystrzycy: „Lud wiejski jest przekonany, że na wiosnę będzie zmuszony opuścić strony zachodnie, które przypadną Czechosłowacji". „Wrogą agitację" prowadzili repatrianci zza Buga. Rzekomo z ich winy, a także z powodu częstych napaści i rabunków żołnierzy radzieckich aż połowa ludności nieodległego Lwówka Śląskiego miała wyjechać do województw centralnych. *(Archiwum Akt Nowych, Ministerstwo Informacji i Propagandy 550, k. 25. Sytuacja Polityczna, Wrocław, 6II 1946.) (strona 451.).*

I tu także jest wzmianka o panoszących się żołnierzach radzieckich. Sądzę, że temu tematowi trzeba będzie poświęcić w Echu duuuży artykuł, bo informacji jest coraz więcej i warto byłoby je zebrać w jednym miejscu.

Zapraszam wszystkich do współredagowania tej rubryki, bo podejrzewam, że informacji o ziemi złotoryjskiej w różnych mediach jest sporo.

Robert Pawłowski

Głośno, ale bez rekordu

Kiedy piszę ten tekst, środki zebrane podczas XXI Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy są jeszcze liczone. Wiadomo jednak, że zebrano o ok. 4-5 tys. zł mniej niż rok temu - niecałe 30 tys. zł.

- Widać niestety, że nasze społeczeństwo ma mniej pieniędzy, którymi może się podzielić. Na pochwałę zasługuje Malwina Zagata, która zebrała ponad 1700 zł. - mówi Ewa Miara, Komendantka Hufca ZHP Złotoryja, już po raz 8 organizująca Finał w naszym mieście.

W Złotoryi od wczesnych godzin rannych można było spotkać wolontariuszy z puszkami, ponad 80 młodych ludzi ze złotoryjskich szkół i organizacji.

- Uzbierałyśmy z koleżanką prawie 500 zł, ludzie byli hojni, nikt nas nie omijał i każdy wrzucił choćby symboliczny grosz – mówi Paulina Piendel, jedna z wolontariuszek.

Tegoroczną ciekawostką były historyczne patrole w wykonaniu członków Frakcji Rekonstrukcji Historycznych Gwardia działającej przy Stowarzyszeniu Przyjaciół Złotoryi Aureus Mons. Młodzi złotoryjanie w mundurach Milicji Obywatelskiej i Armii Radzieckiej dzielnie patrolowali ulice naszego miasta, a w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji założyli swój tymczasowy punkt dowodzenia.

- Większość mieszkańców podchodziła do nas z ciekawości i pytała, co odtwarzamy. Chętnie wrzucali pieniądze

do puszek i robili sobie z nami pamiątkowe zdjęcia – opowiada Przemysław Markiewicz, prezes Aureus Mons.

Nie ma Finału bez licznych imprez towarzyszących. W holu ZOKiRu można było zakupić ciasta i gofry robione przez harcerki, wziąć udział w loterii fantowej, pobawić się z Misiem Puchatkiem oraz Pipi z Fabryki Urodzin. Na scenie zaprezentowali się akrobaci z Fundacji Ocelot, tancerze z Łał i SAD oraz młodzi wokaliści.

Jak zawsze dużą popularnością cieszyła się licytacja przedmiotów przekazanych przez darczyńców. W tym roku do niezastąpionego Krzyśka „Wampira" Zabłotnego dołączył Bartosz Łoś. Wśród przedmiotów było sporo obrazów lokalnych artystów, które chętnie nabywała Wójt Gminy Złotoryja Maria Leśna i Prezes TMZZ Aleksander Borys. Licytowano również wypieki, gadżety złotoryjskie, płyty winylowe, koszulki z podpisami zawodników Zagłębia Lubin, gwiazd Bitwy na Głosy i zawodników ZKS Górnik Złotoryja, zdjęcia Złotoryjskiego Klubu Fotograficznego, a nawet inhalator, który przed samą licytacją przyniósł starszy pan.

- Prowadzę licytacje podczas złotoryjskiego WOŚPu od kilku lat i co roku brakuje mi zaangażowania publiczności. Przede wszystkim ma być to dobra zabawa dla mnie i dla publiczności, a przy okazji mamy coś sprzedać. W tym roku nie pobiliśmy rekordu zeszłorocznego, prawdopodobnie to wina kryzysu, na kogoś trzeba zgonić. Mam nadzieję, że za rok w licytacji weźmie udział więcej lokalnych przedsiębiorców i biznesmenów. Sprzedałem takie piękne obrazy za grosze, że aż serce mnie bolało. Próbowaliśmy z Bartkiem Łosiem rozgrzać publiczność, starsza część dawała radę, ale młodsza mnie zawiodła, choć to oni powinni przodować w oklaskach i okrzykach. Niewątpliwie sukcesem tej licytacji było sprzedanie corocznego absurdu. Kto by pomyślał, że dwie podarte koperty i regulamin do karty podarunkowej osiągną wyższą cenę niż np.: koszulka Górnika Złotoryja, czy niejeden obraz - mówi Krzysztof Zabłotny.

Po licytacji przyszedł czas na mocne granie w wykonaniu lokalnych muzyków oraz gości z Poznania i Wrocławia.

- XXI Finał przyniósł spore, pozytywne zmiany. Przede wszystkim, po raz pierwszy od wielu lat, przy organizacji koncertów z ZOKiRem i ZHP współpracowały nowe osoby. Jako jedna z tychże osób uważam, że wprowadziliśmy dużą dozę świeżego, muzycznego powiewu na deski naszego ośrodka. Chcieliśmy ludziom przychodzącym rokrocznie na występy zaserwować coś zupełnie nowego. Sprowadziliśmy zespoły zarówno lokalne jak i z dalszych stron. Dominowały głównie alternatywne, rockowe i metalowe brzmienia. Przełamaliśmy w ten sposób pewien kopiowany od lat schemat. Goście wyglądali na ukontentowanych i praktycznie do samego końca zapełniali salę po brzegi. Więc się udało. Jestem przekonany, że za rok będzie jeszcze lepiej. - mówi Mateusz Pasek z Vexing Question, jeden z organizatorów muzycznej oprawy Finału.

Na scenie zaprezentowali się: D.E.A.D.C.H.I.L.L (thrash metal), Vexing Question (metal / disco), The Baryns (alternative rock), Julien (psychedelic / alternative), Góco (independent artist) oraz gwiazda wieczoru - Insult (metal / alternative). Koncerty zakończyły się przed 22:00.

Na ostateczne podsumowanie XXI finału trzeba jeszcze poczekać. Mimo zebrania mniejszej kwoty niż w ubiegłym roku, Złotoryja wypada i tak dobrze na tle naszych sąsiadów. W Chojnowie zebrano niecałe 7 tys. zł, w Jaworze ok 23 tys. zł, w Polkowicach 27 tys. zł, w Lubinie 48 tys. zł. W całym kraju na dzień 14 stycznia wiadomo, że fundacja Jurka Owsiaka zebrała blisko 40 mln zł. W tym roku Orkiestra grała dla ratowania życia dzieci i godnej opieki medycznej seniorów.

Bartosz Jeziorski

Nasze XXV lecie

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej jest kontynuatorem Komisji Historycznej. Komisję tworzyło: 4 historyków, 2 geografów, 1 n-l plastyki, 1 n-l nauczania zintegrowanego, 1 bibliotekarz, 1 prac. administracyjny. Przewodniczącym został **Roman Gorzkowski**. W dniach 8 i 17 września 1987 r. odbyło się w Urzędzie Miejskim zebranie założycielskie. W zebraniu udział wzięło 50 aktywnych mieszkańców, w tym Naczelnik Miasta – **Bogusław Cetera**. Na zebraniu zatwierdzono Statut i wyłoniono władze. Następnie w dniu 30 listopada 1987 roku zarejestrowano Towarzystwo i wpisano do rejestru w Urzędzie Miejskim. Wówczas najważniejszym stało się założenie ewidencji członków i pozyskanie lokalu. Pierwszy rejestr pokazał, że na 204 członków 98 posiada wykształcenie wyższe, 60 średnie, 9 zawodowe i 37 było uczniami. Deklaracje i legitymacje ofiarowali drukarze, pieczątki sfinansowała oświata, a szyld nieodpłatnie wykonała **Grażyna Jas-Mistak**. Następnie powołano trzy sekcje. W dniu 8 grudnia 1987 r. zatwierdzono plan pracy na kolejny rok. Zawarto umowę z DTSK na napisanie Monografii Złotoryi.

Remont strychu „Bacalarusa" pod siedzibę TMZZ

Ścieżka św. Jadwigi

Wyjazdowe zebranie zarządu DTSK w TMZZ

Spotkanie Koła Kresowian

W jesieni 1987 r. ukazała się publikacja z cyklu „Złotoryja - zabytki dawniej i dziś". Kolejno pojawiały się nowe tytuły. Nakręcono film o zakładach pracy. Opracowano i wydano przewodniki.

W roku 1986 przygotowano i przeprowadzono I sesję naukową na temat „Najdawniejsze dzieje Złotoryi"; referaty wygłosili: prof. doc. dr **Krystyn Matwijowski**, **dr Ryszard Gładkiewicz** oraz **Małgorzata Chmielowska**, **Roman Gorzkowski, Danuta Sosa** i **Leopold Wokotrub**. Kolejną sesję „Złotoryja – z dziejów miasta i okolic" zorganizował już TMZZ (25-26 września 1987 r.), referentami byli **dr Franciszek Biały**, **dr Ryszard Gładkiewicz, Teresa Bogacz, Roman Gorzkowski, prof. dr Marian Haisig, Krzysztof Kowalczyk i dr Stanisław Żyga**. W roku 1990 przeprowadzono sesję pod merytorycznym nadzorem DTSK na temat 1000-lecia polskości Śląska.

Kolejną dużą inicjatywą TMZZ było uporządkowanie strychu i wieży kościoła, gdzie urządzono salę Trozendorfa i umożliwiono zwiedzanie wieży. Wśród członków występował ruch; jedni przybywali, drudzy odchodzili. Towarzystwo działało prężnie w swoim nowym wyremontowanym lokum. Doprowadzenie ruiny strychowej do efektownych pomieszczeń niewątpliwie jest zasługą wielu osób i tu należałoby przywołać postać Pana **Helmricha** – naszego wspaniałego przyjaciela.

Jubileusz jest dobrą okazją do udzielenia głosu Prezesowi Towarzystwa - **Aleksandrowi Borysowi**. Zapytajmy go więc o kilka spraw.

Zbliżamy się do końca kolejnej, a Twojej drugiej kadencji jako prezesa. Co czujesz?

Muszę sięgnąć do historii. Mój czas wstąpienia do Towarzystwa miał miejsce w trudnym okresie dla naszego kraju i miasta, ale pojawiłem się w dobrym towarzystwie złotoryjskich społeczników. Wówczas Zarząd tworzyli: **Roman Gorzkowski, Izabela Kordos, Krystyna Napiwocka, Kazimierz Litwin, Alfred Michler i Tadeusz Paliszkiewicz**. Nie ulegaliśmy ,,słabym czasom" i nie poszliśmy w ,,słabą działalność".

Uczestniczyłeś w powstawaniu monografii Złotoryi - jakieś skojarzenia, myśli nieuczesane?

Pamiętam zapał ludzi, przychylność i pomocną dłoń DTSK, ale z niezrozumiałych względów wydanie ,,Dziejów Złotoryi" przesunęło się o kilka lat. Teraz ta pozycja jest nie do zdobycia. To cieszy.

Wspierasz autorów opracowań, TMZZ jest wydawcą rozchwytywanych publikacji. Co dalej?

To nie ode mnie zależy. Będą pomysły, autorzy, będą publikacje. Wypełniamy lukę w morzu potrzeb i należy zrobić wszystko, by nie obniżyć lotów. Oczywiście, nie dźwigniemy kosztów działalności samymi składkami członków, potrzebne są nam dotacje i sponsorzy. Nawet kupujący ECHO ZŁOTORYI przyczyniają się do częściowego zwrotu nakładów. Jak wiesz, wspieram nadal tych wszystkich, którzy coś wiedzą i potrafią to opisać i zilustrować. Jestem zawsze podekscytowany nowym pomysłem wydawniczym.

Które z kół czy sekcji działających przy TMZZ cenisz najwyżej?

Wszyscy rozwijają swoją działalność, to są pasjonaci. Z zadziwieniem obserwuję, jak pracują, wielu ludziom na etacie ze stałą pensją brakuje ich zapału. Nawet nie czekają na oklaski, ale cieszą się, gdy je usłyszą. Wokół nas wiele się dzieje, bo albo jesteśmy gospodarzami, albo uczestnikami realizacji społeczników z tzw. terenu.

Co w życiu TMZ było przełomem?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pozyskanie siedziby, ale zanim do tego doszło milowy krok wykonał **Alfred Michler** nawiązując kontakt z panem Herbertem **Helmrichem**, który dopomógł w pozyskaniu finansowego wsparcia od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Musieliśmy zdobyć 100 tys. zł środków własnych. Dzięki mobilizacji i wsparciu środowiska lokalnego udało się! Uroczyste otwarcie Ośrodka nastąpiło w 2001 r. Potem już tylko porządnie pracowaliśmy.

Czy Prezes chciałby coś dodać?

Pragnę serdecznie podziękować wszystkim działaczom, którzy są, i tym, którzy byli z nami przez te wszystkie lata. Ubolewam, że tylu wspaniałych ludzi odeszło od nas na zawsze i nie doczekali tej chwili. Cześć Ich pamięci!.

Nasze Towarzystwo uzyskało wpis do rejestru organizacji pożytku publicznego, dzięki temu każdy może nas wesprzeć, a tym, którzy to uczynili wcześniej, serdecznie dziękujemy.

Życzę wszystkim nowych sukcesów i radości z pracy dla innych.

Prezentujemy wyciąg z planu pracy – kalendarium zamierzeń kulturalnych, które Państwu u progu 2013 r. mamy przyjemność przedstawić.

Opracowała Danuta Sosa

Podsumowanie III konkursu Wiedzy o Kresach

Dzień Regionalisty

Obsługa stoiska z wydawnictwami na zamku w Grodźcu

Plan imprez TMZZ w 2013 r.

Lp.	Nazwa imprezy	Data	Miejsce	Organizator
1	Jubileusz 25-lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej	17 stycznia	ZOKiR	TMZZ
2	Wystawa "Zdjęcia Tygodnia 2012", Ogłoszenie wyników wyborów "Człowieka Ziemi Złotoryjskiej 2012", doroczne spotkanie z Czytelnikami "Echa Złotoryi".	24 stycznia	ZOKiR	TMZZ, ZKF, Echo Złotoryi
3	Konkurs „Kampania napoleońska 1813 roku w Złotoryi" oraz gra miejska „Bitwa o Basztę"	marzec -rozpoczęcie, finał w maju	Złotoryja	TMZZ
4	„Szukamy kresowych korzeni" – II warsztaty genealogiczne	marzec	Biblioteka Miejska	Koło Kresowian przy TMZZ
5	II Złotoryjska Biesiada Kresowa	czerwiec	ZOKiR	Koło Kresowian przy TMZZ
6	VI Rajd Źródlany	13 czerwca	Złotoryja-Jerzmanice Zdrój	TMZZ
7	Obchody Rocznicy Uchwalenia Konstytucji 3 Maja: wystawa i prelekcja	maj	Siedziba TMZZ / ZOKiR	TMZZ
8	Odczyt „Rozwój kolejnictwa i turystyki na Dolnym Śląsku"	marzec	Siedziba TMZZ/LO	TMZZ
9	VII Rajd Czterech Świątyń Jadwiżańskich	14 czerwca	Złotoryja – Wysocko	TMZZ
10	V Spacer Drogą św. Jakuba	19-21 lipca	Lwówek Śląski – Lubań	TMZZ
11	Europejskie Dni Dziedzictwa	wrzesień	Złotoryja i okolice	TMZZ
12	XII Powiatowy Dzień Regionalisty	wrzesień	Nowe Łąki- Grapa	TMZZ
13	XVI Rajd Jadwiżański	5 października	Ścieżka św. Jadwigi Złotoryja -Rokitnica	TMZZ
14	Obchody Święta Niepodległości- wystawa, prelekcja i gra miejska	listopad	Siedziba TMZZ	TMZZ

Dokładne terminy zaplanowanych wydarzeń będą zamieszczane oraz aktualizowane na bieżąco na stronie : www.tmzz.zlotoryja.pl oraz na profilu TMZZ na Facebooku.

W ramach TMZZ działają i spotykają się systematycznie w siedzibie Towarzystwa przy ul. Szkolnej 1 – „Bacalarus":

- Koło Kresowian- trzecia środa miesiąca -10.30
- Klub Fotograficzny- czwartki - 17.00
- Klub Kolekcjonera- środy -17.00
- Redakcja „Echa Złotoryi"- poniedziałki -17.00
- Zarząd TMZZ – pierwsza środa miesiąca-17.00
- Rada Programowa ODiODZZ – pierwszy wtorek miesiąca- 17.00

Rokitnica, sadzenie drzewek na ścieżce św. Jadwigi

Świetlica i hotel

Historia jednej fotografii

W jednym z budynków, zapewne w centrum miasta, funkcjonowała po wojnie świetlica oraz hotel. Jego fasadę, jak widać na fotografii, przynajmniej w okresie politycznych świąt, ozdabiano flagami oraz portretami doborowego towarzystwa: Bolesława Bieruta, Konstantego Rokossowskiego, Karola Marksa, Fryderyka Engelsa, Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina. Prosimy czytelników o odpowiedzi na pytanie nie tylko: o jaką kamienicę chodzi i czy jeszcze istnieje, ale również o konkretniejsze informacje na temat działających tam instytucji.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Na szczęście!

We wrześniu 1914 r. do jednej z podjeleniogórskich miejscowości trafiła widokówka, która tym razem uświetnia niniejszą rubrykę. Właśnie rozpoczynała się wojna światowa i możemy się domyślać, że złotoryjski nadawca, życząc siostrze wszystkiego dobrego, miał na myśli nazwę budynku na widokówce. Gdzie znajdowała się przed wojną owa willa „Glückauf", czy jeszcze istnieje?

Robert Goździk

Turniej Miast żyje!

Jak zapewne pamiętają wierni czytelnicy *Echa*, w październiku 2010 r., ukazał się artykuł o zmaganiach Złotoryi z Bolesławcem w lipcu 1969 r., czyli ostatnim w Polsce Turnieju Miast. Dzięki informacjom między innymi kilkudziesięciu złotoryjan udało się autorowi zgromadzić wiele ważnych informacji, choć nie na wszystkie pytania znaleźliśmy odpowiedzi.

Bolesławiec 1969. Od lewej: Bogusław Gruna i Eugeniusz Pach-

Z wielką radością odnotowujemy, że możemy kontynuować opowieść o Turnieju Miast dzięki Bogusławowi Grunie, który odegrał wówczas nie byle jaką rolę. Najpierw trenował razem z ekipą złotoryjskich chodziarzy, aby następnie objąć jednak rolę Rzecznika Miasta Złotoryja w Bolesławcu. Organizatorzy uznali, że będzie on najwłaściwszym człowiekiem na tym stanowisku, jako ówczesny dyrektor największego zakładu przemysłowego w naszym mieście – Złotoryjskich Zakładów Wyrobów Filcowych. Na dwóch archiwalnych fotografiach widzimy Bogusława Grunę (z lewej) oraz redaktora Eugeniusza Pacha (który z ramienia telewizji prowadził turniej w Bolesławcu) tuż przed startem chodziarzy. We wspomnieniach Bogusław Gruna potwierdza w całej rozciągłości tendencyjne zachowanie sędziów tej konkurencji i nieuzasadnione zatrzymywanie naszych zawodników na trasie.

Złotoryja 2012. Od lewej: Andrzej Zamojski, Bogusław Gruna, Tadeusz Kuczyński, Andrzej Zdaniuk, Michał Gratkowski, Mieczysław Kiwka, Tadeusz Gliński, Michał Kujawiakowski. Fot. R. Gorzkowski

Bogusław Gruna, mieszkający teraz w Jeleniej Górze, od ponad sześćdziesięciu lat czynnie uprawia sport i należał do czołowych pingpongistów Dolnego Śląska. Oczywiście zdobywał również punkty dla Górnika Złotoryja, oraz wielu innych dolnośląskich klubów. Przez kilka lat był tenisowym partnerem najlepszego polskiego zawodnika w tej dyscyplinie, olimpijczyka i mistrza Europy, Lucjana Błaszczyka. Jest w Polsce jedynym w swoim wieku tak czynnym weteranem tenisa stołowego.

Gdy w 2012 r. Bogusław Gruna skontaktował się z innym z zasłużonych uczestników Turnieju Miast, Michałem Kujawiakowskim, nie sposób było nie zorganizować specjalnego spotkania w Złotoryi. W czerwcu ub. r. raz jeszcze wspominali więc tamte czasy: Tadeusz Gliński, Marian Gratkowski, Bogusław Gruna, Mieczysław Kiwka, Tadeusz Kuczyński, Michał Kujawiakowski, Krzysztof Zamojski oraz Andrzej Zdaniuk. Raz jeszcze im wszystkim dziękujemy! Dzięki Bogusławowi Grunie archiwum TMZZ wzbogaciło się o kilka ciekawych dokumentów, o których nie zapomnimy w kolejnych artykułach. A swoją drogą, o ilu jeszcze ważnych wydarzeniach mogliby opowiedzieć *Echu* złotoryjanie... Czekamy!

Roman Gorzkowski

Strzelnice kluczowe

W odpowiedzi na pytania z poprzedniego numeru *Echa* otrzymaliśmy następujący list od Mariusza Lendziona ze Złotoryi, którego oczywiście zapraszamy po odbiór nagrody książkowej:

W związku z pojawieniem się w *Echu Złotoryi* (grudzień 2012) kolejnego artykułu z serii *Historia jednej fotografii* podejmuję się próby odpowiedzi.

Fotografia zamieszczona w *Echu Złotoryi* przedstawia wykonane z piaskowca trzy strzelnice kluczowe znajdujące się w miejskich murach obronnych w Złotoryi przy ulicy Staszica, w pobliżu kościoła św. Jadwigi i przylegającego do niego budynku klasztornego. Na środkowej strzelnicy widnieje wyryta data 1541. Jak podaje przewodnik *Złotoryja i okolice* wydany przez TMZZ w 2006 roku, strzelnice te zostały tam umieszczone zapewne w XIX wieku. Mury obronne pochodzą z XIV wieku i rozbudowywano je jeszcze przez następne dwa stulecia. Za kościołem św. Jadwigi przy dolnej części ulicy Staszica zachowały się do dnia dzisiejszego fragmenty zewnętrznego i wewnętrznego pierścienia murów. Strzelnice kluczowe umieszczone są w pierścieniu zewnętrznym obok baszty łupinowej będącej częścią pierścienia wewnętrznego. W górnej części ulicy Staszica istnieje jeszcze niezasypany fragment dawnej fosy miejskiej. Mury miejskie, baszty i fosa stanowiły podstawową funkcję obronną dawnego miasta na wypadek najazdu wrogiego wojska. Nie zawsze jednak skutecznie. W czasie najazdu husytów na Złotoryję w XV wieku, mieszkańcom miasta pozostało jedynie schronić się w kościele Mariackim. Dopiero mury kościoła ochroniły mieszkańców przed atakiem husytów. W pierwszej połowie XIX wieku rozebrano obwarowania miejskie i zasypano fosę w celu ułatwienia komunikacji i rozwoju przestrzennego miasta. Ostatnia renowacja ocalałych części murów miejskich odbyła się w 2007 roku dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Nazwa *strzelnica kluczowa* jest nie przypadkowa, bowiem otwór strzelnicy przypomina swym kształtem odwróconą dziurkę od klucza. Strzelnica służyła oczywiście do strzelania w kierunku nadchodzącego wroga. W otworze umieszczano lufę ręcznej broni palnej, a w czasach, gdy nie znano tego typu broni strzelano przez takie otwory z łuków czy kusz.

Ciekawą sprawą jest data 1541 wyryta na jednej ze strzelnic, dość odległa od XIX wieku. Niestety nie udało mi się znaleźć jakiegoś konkretnego znaczenia tej daty w historii Złotoryi, poza tym, że jest to trzechsetna rocznica bitwy pod Legnicą z 1241 roku, w której brali udział złotoryjscy górnicy włączeni do wojska Henryka Pobożnego, walczącego przeciwko nadjeżdżającym Tatarom. A może strzelnice są znacznie starsze i pochodzą z XVI wieku albo jeszcze wcześniej, gdy rozbudowywano mury miejskie? Czy mogło być tak, że w XIX wieku podczas rozbiórki murów miejskich, chcąc uchronić strzelnice przed zniszczeniem, przeniesiono je z nieznanego nam miejsca właśnie w to miejsce, gdzie się one obecnie znajdują? Czy w XIX wieku mogły one spełnić jeszcze swoją rolę? Wiadomo, że w pierwszej połowie XIX wieku Złotoryja i jej okolice były świadkami walk wojsk prusko-rosyjskich z francuskimi. Strzelnice mogłyby się wtedy z pewnością przydać. Dodajmy, że w sierpniu 1813 roku miały miejsce intensywne walki tych wojsk pod Wilkołakiem (Wilcza Góra). Ostrzelano również samą Złotoryję. W glebie można znaleźć nawet ołowiane kule, o czym sam się przekonałem znajdując taką kulkę na terenie ogródków działkowych położonych między ulicami Wojska Polskiego i Kościuszki. Niewykluczone, że ciała ofiar tych walk pochowano gdzieś w okolicy Wilczej Góry. W roku 2013 przypadać będzie zatem dwusetna rocznica walk pod Wilcza Górą. Być może w tym roku pojawią się w Złotoryi ponownie wojska napoleońskie i prusko-rosyjskie, ale tym razem nie po to, aby siać strach, lecz abyśmy całkiem bezpiecznie mogli obejrzeć pod Wilkołakiem rekonstrukcję walk z XIX wieku.

Poniżej zamieszczam fotografię przedstawiającą jednocześnie wspomniane zabytki: strzelnice kluczowe, mury miejskie, basztę łupinową i fragment kościoła św. Jadwigi z wieżyczką w dachu nad prezbiterium. Widzimy na niej zamurowane otwory omawianych strzelnic. Fotografię wykonałem jakieś dwa albo trzy lata temu. Myślę, że przez ten czas zabytki nie zmieniły się w sposób istotny do dnia dzisiejszego, co niekiedy może się zdarzyć i to nie zawsze z pozytywnym skutkiem, czego wymownym przykładem może być chociażby budynek dawnego młyna przy ulicy Kolejowej...

Mariusz Lendzion

Warto przeczytać

Muzeum Michała Sabadacha

Pewnie niejednemu się łza zakręci w oku a inni zacisną pięści, przypominając sobie, kogo to tak jeszcze niedawno kochaliśmy „za/żarcie i za/wzięcie". Prywatne muzeum pamiątek po Armii Radzieckiej i Wojsku Polskim w Uniejowicach istnieje od 1997 r. a w 2012 r. otrzymało nowy kształt, dzięki zaangażowaniu Waldemara Chabiora, Franciszka Grzywacza, Mateusza Jackowskiego, Wojciecha Konduszy i pomocy KOBUD-u, ZOKiR-u, Pensjonatu „Przy Miłej" oraz Instytutu Metali Nieżelaznych w Legnicy. Autor tekstu, Wojciech Kondusza, opisuje losy M. Sabadacha i jego rodziny, dzieje muzeum, Związku Żołnierzy LWP i Klubu Kawalerów Orderu Wojennego Virtuti Militari. Czytelnik znajdzie również wybór wpisów do księgi pamiątkowej muzeum oraz liczne fotografie, wykonane przez Franciszka Grzywacza, którego EDYTOR jest wydawcą publikacji.

Roman Gorzkowski

Komu przekażesz 1% swojego podatku za 2012 rok?

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 25 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, rajdy i wycieczki, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Złotoryjski Klub Fotograficzny
- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Rajdy i szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba
- Księgarnia internetowa.

1% - wielkie możliwości

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1

KRS 0000124632

Echo Złotoryi

Złotoryjski Klub Fotograficzny

Kopalnie Surowców Skalnych S.A. Złotoryja

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi

POAR Złotoryja

GALERIA SPONSORÓW

VITBIS
szklane bombki choinkowe

INŻYNIERIA INKOBUD ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

KOSD WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe Surowców Drogowych Sp. z o.o. w Wilkowie

---

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Wydanie styczniowego numeru wspomogli Państwo Marianna i Leszek Plebankiewiczowie

Echo Złotoryi

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 (Dom Nauczyciela „Bacalarus"),
tel. 76 8788137, Internet: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Anna Chrzanowska (sekretarz redakcji), Roman Gorzkowski, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Krystyna Zalewska, Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Widok z dachu hotelu Qubus - autor: Leszek Leśniak